

JERZY SZARECKI
CZAPKA TOPIELCA





Księgarnia Kościuszkowa
„OŚWIATA”
w Czarnolasie
BIBLIOTEKA

No Inwent. 304

TEGOZ AUTORA
UKAZAŁO SIĘ NAKŁADEM „ROJU“:

NA POKŁADZIE „LWOWA“ Zł 6.—

JERZY SZARECKI

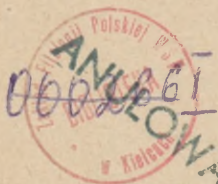
CZAPKA TOPIELCA



ZWIĄZEK ZAWODOWY PRACOWNIKÓW
KSIĄŻKI, PRASY I RADIA
RACJA KŁADOWA
"DOM KSIĄŻKI"
Kielce, ul. M. Buczka 33, tel.

W A R S Z A W A — 1 9 3 1

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“



000061
I-203



226496

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

CZAPKA TOPIELCA

Od pewnego czasu niezmiernie wesoło było na pokładzie trójmasztowego barku „Albatros“.

„Albatros“ odbywał stałe rejsy między Sztokholmem a różnemi portami oceanu Atlantyckiego, załoga zaś tego barku z różnojęzycznej się składająca hołoty, stale nudziła się między Sztokholmem i owemi atlantyckimi portami, gdzie zato po przybyciu płacono sobie szczerze za monotonię morza rozpamiętaniem i orgjami lądu. Dopiero od czasu, gdy gruby John rozbił nos smukłemu Georgesowi, a smukły Georges zwichnął szczękę grubemu Johnowi, na pokładzie „Albatrosa“ uczyniło się nieco weselej. Nie było potem dnia w ciągu którego dwaj przeciwnicy nie spuściliby sobie trochę krwi przy pomocy różnych co twardszych przedmiotów pochodzenia okrętowego, nie było dnia w ciągu którego towarzysze ich nie pokładaliby się ze śmiechu, patrząc z lubością na te ponure igraszki. Zresztą nietylko walki napawały wesołością społeczność „Albatrosa“, sam widok Georges i Johna zdolen był pobudzić do śmiechu najbar-

dziej zatwardziałego melancholika załogi. Po każdej bójce bowiem nosy ich nabrzmiwały i puchły przezrażliwie, miejsca pod oczami przybierały kolor lazuru mórzu południowych, naderwane uszy, zdawało się, lada chwila, odlecą od czaszki, zaś zlane krwią „konterfekty“ ich były tak czerwone że kucharz, grek Konomopułło począł nazywać Georgesa i Johna — „Czerwonolicy bracia moi“.

Doniedawna jeszcze nie było serdeczniejszych przyjaciół nad Georgesa i Johna. Dopiero od czasu owego bezsensownego alarmu szalupowego podczas sztilu na Bałtyku stosunki ich uległy zmianie. W ciągu dalszej podróży pogarszały się stopniowo coraz bardziej aż w trzy dni potem, jak „Albatros“ zerwał boję w Sundzie i uszkodził sobie przytem ster, naprężenie wrogich uczuć stało się tak silne, że wywołało ową bójkę, która była początkiem całego szeregu następnych.

Historja zrodzenia się wzajemnej nienawiści tych dwu marynarzy oraz przebieg jej następstw są niepowszednie i pełne faktów niezwykłych. Zaczęło się od tego, że w dwa dni po odkotwiczeniu się w Sztokholmie, gdy „Albatros“ znajdował się już niedaleko wyspy Bornholm, wiatr dość pomyślny z początku począł ścichać, aż ustał zupełnie i morze objął mdły,

150
300.- 400.- 27 50
600.- 750.-
700 - 1000

beznadziejny szkielet. Zagle zwisły bezsilnie, wydymając się tylko od czasu do czasu, przy rzadkich, słabych, jakby sennych podmuchach leniwego wiatorku. Podczas jednego z takich podmuchów, gdy płaty piany trochę żywiej zaczęły się przesuwac wzdłuż burt do rufy barku, Georges, stojący właśnie na „oku“ *) i obserwujący przez szkła horyzont, zauważył przed statkiem jakiś niewielki przedmiot kołyszący się spokojnie na fali.

Jednym z kanonów prawa morskiego jest obowiązek wachtowego na „oku“ meldować kapitanowi wszelkie stwory czy to żywe, czy martwe, ukazujące się na widnokregu lub na horyzoncie. Żadnych absolutnie różnic co do wielkości i jakości zaobserwowanych przedmiotów czynić nie wolno. Pływające pudełko od sardynek musi być zameldowane tak samo jak i wielki czterokominowy transatlantyk.

Georges tedy, przyjrzawszy się baczniej pływającemu obiektowi i stwierdziwszy z odrobiną zdumienia, iż jest to czapka, poszedł zameldować kapitanowi, że czapka jakaś znajduje się na kursie „Albatrosa“.

Kapitan przyjął meldunek na pozór obojętnie,

*) „Oko“ — warta na przodzie okrętu.

w chwil parę jednak po tem, jak Georges wrócił na swoje stanowisko na bak, zarządzony został alarm szalupowy, „Albatros“ stanął w dryf i spuszczone na fale szalupa popychana rzutami wiosel podążyła w kierunku pływającej czapki. Gruby John, który był bosakowym na tej szalupie, wyłowił ją z wody i położył obok siebie na ławce.

Szalupa, spełniwszy zadanie, wróciła do burty „Albatrosa“ i podczas gdy wciągano ją na rostry przy pomocy szalupbelek i szluplin, załoga komentowała szeroko niezrozumiały postępek kapitana. Kucharz, grek Konomopułło, najbystrzej orjentujący się w plotkach i ploteczkach okrętowo-portowych, twierdził z całą stanowczością, że kapitan dlatego kazał wyłować czapkę, iż zachodziło podejrzenie przynależności tej czapki do dawnego bosmana „Albatrosa“, którego „stary“ przed pół rokiem w czasie sprzeczki po pijanemu wrzucił do morza. Czapka więc ta, w której ś. p. bosman wpadł do „wachy“ ma dla kapitana wartość trofeum. Większość jednak załogi innego była o tem zdania i przypuszczała, nie bez pewnej słuszności, że mokra czapka jako taka nie była przedmiotem pożądań „starego“, ale w danym wypadku posłużyła tylko jako pretekst do urządzenia próbnego alarmu szalupowego. Kapitan „Albatrosa“ bowiem

miał słabość do trzymania swej załogi w ciągłym pogotowiu marynarskiem i przy lada okazji urządzał jej alarmy pożarowe, szalupowe, „człowiek za burta“, „dryf“ i tym podobne imprezy, zmierzające wyraźnie do tego, żeby nikt się nie ruszył z miejsca, gdy naprawdę zajdzie potrzeba jednego z tych terminowych zabiegów. Logika postępowania kapitana była zupełnie jasna i zrozumiała, gdyż niezależnie od tego, czy statek zatonie czy się spali, wraz z załogą czy bez niej — rodzina kapitana, żyjąca w Sztokholmie, otrzyma bezwątpienia wysoką premję asekuracyjną.

Georges był tego samego zdania co i większość załogi o celu alarmu szalupowego. To też jak tylko John, trzymając wyłowioną czapkę w ręku, zeskończył z rostrów na pokład, Georges zbliżył się doń i wyciągając rękę rzekł:

— Dawaj mi, brachu, moją czapkę!

— Co? — zdumiał się John — jakim prawem żądasz, bym ci oddawał swoją czapkę?

— Ja nie chcę twojej, tylko tę, którą żeś teraz wyłowił.

— Sam mówisz, że ją wyłowił.

— Tak, ale ja tę czapkę zauważyłem pierwszy!

— Więc cóż z tego, żeś zauważył?

— A cóż z tego, żeś wyłowił?

W tem miejscu do rozmowy wtrącił się kucharz Konomopuło, dowodząc, że czapka według prawa boskiego, ludzkiego, a nawet morskiego do niego należeć powinna. A gdy otaczający ich towarzysze otworzyli szeroko usta, zdumieni tem jego zuchwalstwem, począł mówić, zwracając się do Johna:

— „Duszo moja, ta czapka bezwzględnie tylko do mnie należy, z tego chociażby względu, że niegdyś była moja. Nieboszczyk bosman, którego nasz „stary“ utopił razem z tą czapką, wydarł mi ją podstępem na dwa miesiące przed swoją śmiercią. A było to tak: siedzę ja w szynku w Hawrze przy stoliku i podpitą hołotę zapraszam do gry w trzy karty. Raptem podchodzi do mnie jakiś wielki drab z bosmańskimi odznakami na rękawie i powiada: „Co tam trzy karty, zagrajmy lepiej w co innego!“ — „Nie mogę — mówię mu na to — nie mam pieniędzy, więc muszę koniecznie wygrać, a nie przegrać. W trzy karty zaś nigdy nie przegram dlatego, że grę tę znam od kolycki i jeszcze dlatego, że te trzy karty, które właśnie trzymam w ręku też znam dobrze nie tylko od frontu ale także i z tyłu.“ „To nic — powiada bosman — nie potrzeba mi twoich pieniędzy, których nie masz, zagramy o twoją czapkę. Będziemy zgadywać. Właściwie ty będziesz zgadywać. Dam ci jedną zagadkę.

Jak zgadniesz, czapka zostanie u ciebie, jak nie zgadniesz, zabiorę ją sobie. No, grajmy!“

— „Sprzeciwiłem się z początku, ale rzezimieszek ten tak niedwuznacznie zdzielił mnie pięścią w łeb, że co prędzej rzekłem: dobrze, dobrze, zgadzam się z chęcią, zagadek znam dużo, możemy grać.“

— „Stawiaj czapkę do banku! — wrzasnął bosman i, nie czekając aż to sam zrobię, zdarł mi ją z głowy i położył przed sobą na stole.“ Później spytał: „Powiedz mi, co jest pożyteczniejsze, słońce czy księżyc?“

— „Słońce — odpowiadam“.

— „Łżesz — mówi bosman — nie zgadłeś. Księżyc jest pożyteczniejszy“.

— „Dlaczego — pytam“.

— „Dlatego, że słońce świeci w dzień, kiedy jest widno, a księżyc w nocy, kiedy jest ciemno.“

Chciałem się kłócić, ale bosman dał mi drugi raz pięścią w łeb, zabrał moją czapkę i wyszedł.

Konomopuło skończył, westchnął i wyciągnął do Johna rękę.

— No dawaj teraz czapkę — rzekł.

— Dlaczego? — spytał John.

— Jakto dlaczego? — zdumiał się kucharz — nie wierzysz, że to moja czapka?

— Nie wierzę — odparł John — jesteś największym łgarzem portu Sztokholmskiego.

— I ja też nie wierzę — odezwał się Georges — idź precz, kuchto, póki zęby masz całe!

Usłyszawszy to Konomopullo szybko wycofał się z placu i tylko z kambuza już zawołał:

— Ta czapka przyniesie wam nieszczęście! To jest czapka topielca! To zawsze przynosi nieszczęście!

Georges i John nie przejęli się przepowiednią Greka i dalej toczyli zażarty spór do kogo należy czapka!

Spór ten rozstrzygnął kapitan i rozstrzygnął na swoją korzyść. Zabrał mianowicie czapkę od Johna i przymierzył sobie do głowy. Czapka leżała jak ulał, to też nie zdjął jej już, starą zaś powiesił na gwoździu w swojej kajucie.

Georges i John wieczorem dnia tego, wisząc już obok siebie w hamakach, sprzeczali się w dalszym ciągu do kogo powinnaby była należeć czapka, gdyby jej „stary“ sobie nie zabrał?

Georges dowodził, że czapka jest jego, gdyż pierwszy ją zauważył, John zaś twierdził, że on jest prawowitym jej właścicielem, gdyż nie kto inny, ale właśnie on z toni morskiej miał ją szczęście wyłowić.

Usnęli, nie przekonawszy się wzajemnie i już z odrobiną niechęci do siebie.

Nazajutrz zrana wiać począł pomyślny wiatr i Georges wraz z Johnem brasując na rufie reje-grotu na fordewind mieli okazję podziwiać wyłowioną czapkę sterczącą dumnie na mostku kapitańskim.

Była to piękna czapka. Angielskiej roboty, wykonana z czarnej, trwałej skóry, o wielkim daszku, wypchana była wewnątrz drobnymi kawałkami korku, co nadawało jej łagodną sztywność i masyw angielskich czapek marynarskich, a jednocześnie pozwoliło utrzymać się czas dłuższy na wodzie i nie zatonać. Nad daszkiem połyskiwała mosiężna kotwiczka okręcona łańcuchem. Kotwiczka ta pokryta już była pleśnią wilgoci i nalotem soli morskich, co świadczyło o tem, że czapka czas dłuższy bujała po falach Bałtyku, podczas gdy właściciel jej spał już zapewne mocno snem wiecznym gdzieś na dnie głębin w śliskich objęciach wodorostów i meduz.

Nie tyle istotne walory czapki, ile to ostatnie przypuszczenie było bodźcem dla kapitana do zabrania jej dla siebie. Mniemał stary wilk morski, że jak sznurek powieszzonego, tak i czapka topielca przynieść musi szczęście temu, kto ją zdobędzie. Niebaczny tedy na wrzaski Konomopuły, który głosił urbi et

orbi, że czapka topielca jest „feralna“ nosił ją ciągle, aż istotnie przepowiednia Greka spełniła się i „feralna“ czapka topielca przyniosła kapitanowi nie-szczęście.

A stało się to w Sundzie, kiedy „Albatros“ przy ciągle zwiększającym się wietrze parł pod pełnemi żaglami dążąc do osiągnięcia trawersu Kopenhagi.

Niewiadomo czy dla uczczenia tego wiatru, który był bardzo pomyslnym dla żeglugi, czy dla zadokumentowania swego zadowolenia z nowej czapki, kapitan uraczył się potężnie paroma butlami konjaku właśnie wtedy, kiedy z pokładu już gołem okiem widzieć było można mury miasta Helsingera.

Wiedząc z doświadczenia, jak trudnem zadaniem dla sternika jest prowadzenie żaglowca przez zatłoczony statkami Sund, kapitan sam stanąć raczył na sterze.

Znanym jest powszechnie fakt, że największe niebezpieczeństwo grozi okrętowi właśnie wtedy, gdy na sterze stoi sam kapitan. Statek bowiem, na którego szturwale spoczywa pewna ręka kapitana żegluje z nadto pewnie i zbyt dufnie w swoją zwrotność.

Tak było i tym razem. „Albatros“ zadzierzyście i z fantazją sterowany ręką podchmielonego kapitana

wyglądał z boku, jak pijany kok, wracający z szynku na pokład swojego okrętu.

Skutki tego nie dały na siebie długo czekać. Bo oto w pięć minut mniej więcej po odesłaniu do wszystkich djabłów wachtowego, meldującego wrak*) na kursie, kapitan stojący na sterze znalazł się nie spodziewanie nos w nos z wylotami luf armatnich zatopionego do połowy w tem miejscu krążownika rosyjskiego „Sława“.

Chcąc uniknąć zderzenia, należało błyskawicznie wykonać zwrot. Kapitan położył ster na burtę i wyrzasnął rozkaz nawołujący do zwrotu owersztag. Ale załoga otrzaskana już z „falszywemi“ alarmami ruszała się opieszale i „Albatros“, odpychany sterem od wraku, uniknął wprawdzie zderzenia z nim, ale wyrznął za to w znajdującą się w pobliżu boję ostrzegawczą, zerwał ją i zaplątawszy się piórem steru w łańcuch boi, zrobił miazgę i z łańcucha i z pióra.

Zerwany łańcuch boi niewiele kapitana obchodził zato ze zdruzgotanym sterem było gorzej, gdyż jak najbardziej nawet ciemnemu laikowi wiadomo, że bez niego statek jest niezdolny do dalszej żeglugi.

Kapitan z wściekłością w sercu i przekleństwem

*) Wrak — zatopiony statek.

na ustach zmuszony był wezwać pilota i holownik z Kopenhagi i prosić wholować „Albatrosa“ do portu w celu reperacji steru.

I tutaj to w Kopenhadze potoczyły się dalej zdarzenia, których następstwem była owa bezbrzeżna nienawiść do siebie Georgesa i Johna.

Zaraz na drugi dzień pobytu w porcie kapitan, rozważywszy w duszy straty na jakie naraziła go awarja, wyrzucił z kajuty swojej na pokład wyłowioną przez Johna czapkę i dwie puste butelki od konjaku, uważając widać te przedmioty za bezpośrednich i jedynych sprawców swego nieszczęścia.

Znajdujący się przytem w pobliżu Georges podniósł czapkę i nieodwołalnie przywłaszczył ją sobie, nie wdając się z Johnem i Konomopułem w dysputy na temat, czy powinna ona należeć do tego, kto ją pierwszy dojrzał, czy do tego, kto ją wyłowił, czy też do tego, kto ją przegrał w odgadywaniu zagadek.

Konomopuło czując respekt przed pięściami Georgesa, zataił w duszy swą ciężką krzywdę i nawet pary z gęby nie puszczał, za to John pyskował za dwóch, doprowadzając tem Georgesa do takiej pasji, że, zsunąwszy swą zdobyczną czapkę na tył głowy, obrzucać począł matkę Johna błotem najniegodziwszych podejrzeń i obelg.

Na to John porzucił na chwilę „czapkowy“ temat i podparłszy się w boki wygłaszał mowę, w której bardzo niepochlebnie wyrażał się o babce i prababce Georgesesa, dowodząc w konkluzji niepewności pochodzenia tego ostatniego.

Na to znów Georges odwdzięczał się garścią informacji o zmarłej ciotce Johna, a John nie pozostając dłużnym rzucał cień podejrzenia na poprawność konduity również zmarłej siostry Georgesesa.

Słyszając to Konomopuło zwykł był czynić półgębkiem uwagę, że ziemia na mogiłach ich przodków płci żeńskiej musi się w tej chwili ruszać bardzo gwałtownie.

Zdarzało się kilka razy, że stojąc tak jeden naprzeciw drugiego, prawili oni sobie te grzeczności w przeciągu dobrej godziny, aż czując, że jeszcze słów parę, a rzucają się sobie do gardła, rozchodzili się w różne strony z pianą i plugastwem na ustach.

Ostatecznie dialogi te, tak zwykle wśród marynarzy, ustałyby zczasem i zgoda zapanowałaby znów między przyjaciółmi, gdyby nie splot pewnych zdarzeń, który, wpadłszy w ich życie, uczynił Georgesesa i Johna śmiertelnymi wrogami.

Georges dnia któregoś, doszedłszy do słusznego wniosku że dwóch czapek dla człowieka o jednej

tylko głowie za dużo, sprzedał Konomopułłowi swą starą czapkę, zamierzając pieniądze uzyskane za nią przepuścić w jakim szynku Kopenhagi.

Jednak przed udaniem się na ląd musiał jeszcze na rozkaz kapitana założyć razem z Johnem nowe szczeble sznurowe na stenwantach w miejsce starych zmurszałych.

John, pogwizdując, wspinał się po wantach pierwszy, za nim w swej zdobycznej czapce na bakier laźł Georges.

Doszli w ten sposób szczęśliwie aż do salingu *) i tu dopiero zdarzył się ów wypadek, który najbardziej ważką był przyczyną ich pierwszej, krwawej bójki. John, złapawszy się rękoma za podłużnicę salingu, postawił jedną nogę na pierwszym szczeblu podwantek i zamierzał uczynić to samo z drugą, gdy nagle sznurowy, zmurszały szczebel nie wytrzymał ciężaru grubego Johna i skandalicznie pękł. Nogi Johna majtnęły w próżnię, zdzieliwszy przytem potężnie obcasami w głowę znajdującego się tuż pod niemi Georges. Temu iskry poleciały z oczu, a czapka z głowy. Gdy iskry znikły, Georges spojrział wdół. Czapki nigdzie nie było. Wpaść musiała do wody i zginąć wśród kręcących koło „Albatrosa“ szalup.

*) Saling — jedno z najwyższych miejsc na maszcie.

Jeszcze na maszcie, Georges, wściekły z powodu straty swej pięknej czapki, rugnął potężnie Johna, wstrząsając bez litości gałęziami jego drzewa genealogicznego i wyrzucając mu, że dzięki jego niedźwiedzim ruchom nie będzie mógł pójść wcale na ląd, gdyż nie posiada żadnej czapki. John, uznając swoją winę, milczał nie wspominając nawet słówkiem o podejrzanym konduicie siostry Georges. W swej chęci złagodzenia krzywdy przyjaciela, posunął się nawet tak daleko, że gdy Konomopullo odmówił wręcz Georgesowi odstąpienia mu za cenę sprzedaży jego własnej czapki, ofiarował się pożyczyć swojej na czas pobytu Georges w szynkach Kopenhagi. Sam ofiarował się zostać na pokładzie, biorąc tylko od Georges jakąś starą do niczego niepodobną imitację imitacji ziujdwestki *), którą można było od biedy nosić na pokładzie, narażając się na śmiech i drwiny towarzyszy, ale w której już żadną miarą nie można było iść na ląd, gdzie się spotyka piękne kobiety.

Georges wziął od Johna czapkę, a dał mu swoją ziujdwestkę, przestrzegając jednocześnie przed zgubieniem jej gdyż była to jakaś jego pamiątka rodzinna po zmarłym dziadku czy nawet pradziadku.

*) Ziujdwestka — ceratowe nakrycie głowy marynarzy, coś w rodzaju beretu.

Los chciał, że w godzinę po odjeździe Georges'a na ląd, ziujdwestka jego pozostawiona na chwilę przez Johna w kambuzie w bezpośrednim sąsiedztwie Greka Konomopuły znikła gdzieś, jak senne marzenie.

Gdy Georges późno w noc wrócił podпиты z lądu, przeprowadzone zostało przez Johna formalne śledztwo co do zaginięcia ziujdwestki. Śledztwo to jednak rezultatu nie dało, choć większości załogi wiadomem było, że ziujdwestka zabrana przez Konomopułę użyta została przez niego do szorowania co brudniejszych kotłów i garnków kambuza. Nikt z marynarzy jednak nie chciał zadzierać z kuchtą, od którego przecież zależało wydać większą lub mniejszą porcję jedzenia.

Gdy po blisko dwugodzinnem użeraniu się Konomopuła przy pomocy jakiegoś ormiańskiego aforyzmu odparował ostatnie z krzyżowych pytań śledztwa, John zwrócił się do Georges'a:

— No, trudno, zginęła twoja ziujdwestka, dawaj moją czapkę.

— Poczekaj — odparł podпиты Georges — znajdź moją ziujdwestkę to ci oddam twoją czapkę!

— Cóż u diabła — zawołał oburzony John — ja ci mam szukać twojej ziujdwestki?!

— A tak, bom ci jej pożyczał!

— Ale nie ja ją ukradłem!

— To cóż z tego? Ziujdwestkę ci dałem, ziujdwestkę musisz mi oddać!

— Skąd ci ją wezmę tę twoją usmarkaną ziujdwestkę?!

— Weź skąd chcesz, żeby była.

— Nawet szukać nie będę!

— I nie szukaj, a ja będę miał twoją czapkę.

— Co?! Znów mi, psi synu, czapkę chcesz zabrać!!!

— Dryfuj od „psich synów“ ogonie morżowy, lym ci twej zaułkowej ciotki nie wypomniał szpetnie!

— Oddaj czapkę, łebku śledziowy!

— Dryfuj, mówię ci, po raz drugi, byś sam po łebku nie dostał.

— Oddasz ty czapkę?

— Nie oddam.

— To drugi raz chcesz mi ukraść?!

— Ja nie kradnę, biorę, co mi się należy. Toś ty złodziej, boś ziujdwestkę ukradł.

— Podlec jesteś! Ja ci z dobroci czapki pożyczyłem, a ty czapki nie oddajesz i jeszcze mnie złodziejem nazywasz? Złodzieju ty, mać twoją tak i owak!

Georges trzęsąc się z wściekłości i już nie panu-

jąc nad sobą zrobił krok w stronę Johna i z całego rozmachu wyrzucił go pięścią w usta. John padł na pokład, lecz w następnej chwili zerwał się i rzucił na Georgesa. Potężny cios jego pięści rozbił i rozkrwa-
wił nos przeciwnika. Następnie zwarli się z sobą, padli i chwyciwszy jeden drugiego za gardła potoczyli się po pokładzie wśród krzyków i śmiechu żądnych widowiska towarzyszy.

Od czasu tej bójki nie było już dnia w ciągu którego tych dwu nie rzuciłoby się sobie do gardła przy lada błahej okazji. A okazji tych tysiące dostarczało wspólne życie na wąskim pokładzie „Albatrosa“. Najbardziej poważnem źródłem ich ustawicznych, ponurych mordobic był czapka Johna zamknięta w kufierku Georgesa. Zawsze przed pierwszym ciosem pięści John żądał oddania mu tej czapki, na co Georges odpowiadał ulewą najpotworniejszych przekleństw i gradem uderzeń.

Mijał czas. Uszkodzony ster został naprawiony i „Albatros“ pozęgłował dalej. Został za rufą Kategat i Skagerak, morze Północne szumiało im dni kilka pod sztabą, jasne, sztywne piaski wysokiego brzegu Anglii w kanale La Manche uszły w mglistą dal, w końcu wielkie rozchwiane belty Atlantyku unosić zaczęły „Albatrosa“ na swych pienistych grzbietach,

a żadna zmiana nie zaszła w stosunku Georgesa i Johna. Zresztą, owszem, zaszła zmiana tego mianowicie rodzaju, że tak samo jak Georges i John załoga poczuła, że tak dalej być nie może i że to rychło się skończy. „Koniec“ ten jednak całkiem inaczej rozumieli marynarze „Albatrosa“ niżby go wyobrazić mógł sobie pierwszy lepszy szczur lądowy. Nadarzyła się też niebawem i okazja do tego „końca“.

John w miarę tego, jak „Albatros“ dążąc ku Marterze mijał coraz bliższe równika równoleżniki wchodzić poczynął w strefy gorące, tracił coraz bardziej cierpliwość, uwijając się po pokładzie pod promieniami prażącego niemiłosiernie słońca z głową owiniętą jakąś brudną szmatą, słabo chroniącą od porażenia.

To też dnia któregoś, gdy „Albatros“ znajdował się już na trawersie Gibraltaru, Konomopuło, który przez zemstę za nieoddanie mu swego czasu czapki pielca, grał w tej kłótni rolę dwuznaczną, zbliżył się do Georgesa i szepnął do ucha, że John właśnie tej chwili rozbija kuferek Georgesa, chcąc odebrać apkę. Georges wyjął z nagielbanku potężny, żelazny giel i zeszedł do międzypokładu. Koło kufereka Georgesa stał rzeczywiście John i marszpiklem usiłował podważyć zamek.

Właśnie w chwili gdy Georges podchodził, zamek pękł i John, wsunąwszy rękę do kufra, wydobyl z jego czeluści swoją czapkę.

— Te — zacharczał wściekle Georges podnosząc nagiel — kładź czapkę z powrotem!

John uskokzył błyskawicznie z pod ciosu ramienia Georges'a i krzepko ujął w rękę ostry marszpi-kiel.

Marynarze otoczyli ich ciasną obręczą, spodziewając się, że zaraz rozegra się epilog ich nienawiści.

Ale w tej samej chwili, gdy przeciwnicy mieli się już rzucić na siebie, z pokładu rozległ się gwizdek i głos bosmana:

— Drrrruga wachta! Na górrrrę!

Pierścień tłumu pękł i marynarze pobiegli na wezwanie na pokład. Za nimi podążyli Georges i John.

Już drapiąc się po trapie na górę, Georges syknął przez zaciśnięte zęby do Johna:

— Teraz już cię utrupię na pewno, poczekaj tylko!

Niebawem też zdarzyła się okazja do wprowadzenia w czyn tej pogroźki.

Była burzliwa, wietrzna pogoda. „Albatros“ unosił się w górę na grzbietach olbrzymich bałwanów i spadał w dół, czerpiąc obficie burtami wodę z sykiem pian, wdzierającą się na miotany burzą pokład.

Wiatr wzmagał się z każdą chwilą, trzeba więc było zwinąć zbędne żagle, zostawiając tylko sztor-mowe. Ze względu na możliwość przejścia wichury w orkan, kapitan kazał zwinąć również grot-ober-mars-żagiel. Rozkaz skrepowania sejzingami ściągnię-tego przy pomocy gejtaw żagla dostali Georges i John.

Jakoż znaleźli się sam na sam w górze na za-wrotnej wysokości uczeptieni nogami chyboczącej sta-lowej linki perty.

Gdy ostatni sejzing owinął się mocno wokoło reji, przytroczywszy do niej wał żagla, Georges odwrócił się twarzą do Johna. Spojrzeli sobie długo i przeni-kliwie w oczy. John nie wytrzymał i spuścił oczy. Wówczas Georges zrobił krok w jego stronę. John cofać się zaczął idąc pertą wzdłuż reji do noku *). Georges następował nań, starając się nogą wytrącić pertę z pod nóg Johna i potem jednym uderzeniem strącić przeciwnika w przepaść. John, cofając się cią-gle, doszedł wkońcu do noku. Wtedy jedną ręką złapał się krzepko jagsztagu drugą szukając wokoło lin brasów, których mógłby się złapać w razie upadku. Kopaniem nóg gotował się odeprzeć atak Georges-a. Georges zaparł się w sobie i skurczył, jakby skoczyć miał wprost na Johna i ciężarem ciała własnego po-

* Nok — koniec reji zwisający nad wodą.



ciągnąć go za sobą w szumiące na dole odmęty. Nagle John krzyknął. Ręka jego błędząca po linach brasów natrafiła na blok, między policzkami którego odczuła jakiś miękki, skórzany przedmiot. Chcąc się przekonać czy blok dzięki temu nie jest uszkodzony i czy może mu służyć za punkt zaczepienia John szarpnął ów przedmiot i wyciągnął... czapkę topielca. Spadając wtedy z salingu gdzie została strącona z głowy Georges, zaplątała się widać między linami i później w czasie częstych brasowań wciśniętą została wewnątrz bloku. Georges ujrzawszy czapkę skamieniał i nie ruszał się z miejsca.

Gdy się to działo na górze, „Albatros“ uderzony olbrzymim bałwanem, zatrzęsł się i gwałtownie pochylił w bok. Maszt wraz z reją na której znajdowali się Georges i John błyskawicznie zatoczył łuk w powietrzu. John straciwszy równowagę zachwiał się, runął w przepaść i w ostatnim momencie tylko, zaczepiwszy się nogami lin brasów, zwisał na nich głową na dół. I oto stała się rzecz dziwna. Georges uosobiwszy widać na moment upadek do wody Johna z bezpowrotnem zagubieniem cudem odzyskanej czapki topielca, złapał ledwo już trzymającego się Johna za nogę i wciągnął na reję. I wtedy dopiero zdał sobie sprawę z tego, że czapce to nie pomogło

i że wypuszczona przez Johna w chwili upadku wpadła do „Wachy“ z której już jej nikt nie wyciągnie. Uratowany John złapał się kurczowo za jagsztąg i ciężko, nerwowo oddychał.

Georges popatrzał nań chwilę, a potem schodząc zaczął wolno po wantach na pokład. Za nim podążył John.

Wypadek ten wzruszył bardzo całą załogę. Podziwiano szlachetność Georgesa, który nie zawahał się podać w niebezpieczeństwie rękę swemu śmiertelnemu wrogowi. Kapitan ofiarował nawet zbawcy i uratowanemu butelkę konjaku dla oblania szczęśliwego zakończenia tego wypadku i mającej teraz zapanować między nimi zgody. Ani Georges ani John jednak, trwając jeszcze w swym uporze, nie kwapili się do oblewania zgody tak, że skończyło się na tem, że Grek Konomopuło wyperswadowawszy im, że koniak kapitański jest im niepotrzebny, wypił go sam wśród okrzyków podziwu załogi nad jego greckim sprytem.

Mimo to, jednak, stosunki wzajemne Georgesa i Johna poprawiły się znacznie. John przez wdzięczność nie podnosił ręki i nie lżył Georgesa, Georges zaś również uważał za podłość wyzyskiwanie swej moralnej przewagi wybawcy i nie tylko, że nie rzu-

cał się z pięściami na Johna, ale nawet nie wspominał nic o skandalicznej przeszłości babek i prababek Johna.

Wkońcu z podełba się wciąż na siebie patrząc, zaczęli świadczyć sobie nawzajem różne uprzejmości i dobrodziejstwa. Gdy Georges miał w nocy wachtę John zawieszał mu hamak, a gdy znów czasem John po wachcie był głodny, Georges, wywijając kułakiem, wydierał Konomopułłowi solone mięso i kładł do kieszeni Johna.

Gdy „Albatros“ zarzucił wreszcie kotwicę na re-dzie Funchalu, głównego portu Madery, zgoda już panowała między Georgesem i Johnem.

Trzeciego dnia po zakotwiczeniu się Georges i John stali przy trapie, patrząc na odbijającą od burty szalupę, która wiozła na ląd marynarzy załogi „Albatrosa“.

Nagle John drgnął.

— Patrz — rzekł do Georgesesa, wskazując na od-dalającą się szalupę — przecież to nasza czapka!

Georges spojrział we wskazanym kierunku. Rze-czywiście na dziobie szalupy tkwiąc na głowie Greka Konomopułły sterczała „czapka topielca“.

Przyjaciele długo w noc z żelaznemi nagłami w ręku oczekiwali powrotu kuchty.

Wrócił wkońcu pijany w sztok, ale bez czapki.

Zażądali wyjaśnień. Z pijanych bełkotów greka przeplatanych zagadkami i aforyzmami ormiańskimi wynikło, że czapka, zleciawszy z reji, nie wpadła, do wody, tylko na pokład i Konomopuło, korzystając z nieobecności przyjaciół, przywłaszczył ją sobie.

— A gdzieżeś ją podział — spytał groźnie Georges.

— To jest „feralna“ czapka — odparł Grek, przerywanym od czkawki głosem — kapitanowi przyniosła nieszczęście, was poróżniła ze sobą, była nieszczęśliwą i dla tego, kto w niej się utopił. Stanowczo feralna czapka. Podarowałem ją tedy signorowi Honorato Oliveira, który jako złodziej i oszust ograł mnie dzisiaj na łądzie w trzy karty.

Konomopuło powiódł po twarzach Georges'a i Johna pijanym, oleistym wzrokiem i mruknąwszy jeszcze coś niepochlebnego o signorze Honorato, zwałił się bezwładnie na pokład.

Georges chciał go kopnąć, ale rozmyślił się i tylko splunąwszy poszedł z Johnem do międzypokładu przebrać się do wyjścia na ląd, gdzie mieli oblać swą odnowioną i umocnioną jeszcze przyjaźń.

Z B R O D N I A

Został sam jeden na bezmiernej, czarnej płaszczynie wzburzonych wód. Jeszcze przed kwadranssem widział wśród fal szarpany wichrem „wicek“ *) na grot-maszcie „Czajki“. Wśród rozbestwionego piekła rozszalałych żywiołów ostał się jakoś ten kawał płótna zwinięty w trąbkę i do ostatniej chwili wskazywał wiernie kierunek, w którym pędził orkan. I gdy już pokład, rostry i reje znikły w otchłani, on jeszcze się targał przy jabłku masztu, jakby sygnały pożegnania śląc od statku załodze. Gdy znikł „wicek“, znikł ostatni ślad po „Czajce“.

Jan spojrział wtedy na zegarek i stwierdził, że była godzina za piętnaście dziewiąta. Niedorzeczną w jego położeniu myśl patrzenia na zegarek powziął pod wpływem świadomości, że uczepiony zapasowej stengi jest względnie bezpieczny i nie utonie odrazu. W każ-

* „Wicek“ Przyrząd do określania kierunku wiatru. Coś w rodzaju płóciennego woreczka zakończonego śpiczasto. Umożliwia się go na szczycie masztu.



dym bądź razie lepiej był zabezpieczony od towarzyszy, których bezsensowne, rozpaczliwe wołania o ratunek słyszał jeszcze czas długi po zniknięciu „Czajki“. Gdy przebrzmiał ostatni, potworny, falą zadławiony okrzyk, Jan po raz drugi spojrzął na fosforyzujący cyferblat i wtedy to właśnie stwierdził, że od zatonięcia „Czajki“ minęło piętnaście minut.

Była godzina dziewiąta. Jan wparł się mocniej łokciami w pień stengi, unosząc głowę jak najwyżej do góry, by złowieszczo syczące wokół piany nie zalewały mu nozdrzy i ust.

Nad oceanem coraz bardziej srożył się sztorm i nawisała czarna, gęsta, naszpikowana bryzgami potwornych bełtów wodnych, złowroga noc. Czasami, gdy potężne porywy wichru niosące ławy pyłu wodnego szarpały niskie, skłębione zwały chmur, wyzierał z poza nich blady księżyc i oświecał na chwilę martwym blaskiem obraz szaleństwa i zgrozy.

Podczas tych krótko trwających chwil Jan wbijał oczy w mrok nocy i dojrzeć coś usiłował na grzbietach wodnych gór.

Sam z początku nie wiedział czego wypatruje w tym chaosie żywiołów, czy towarzyszków, którzy być może nie wszyscy jeszcze zginęli, czy też zarysów statku jakiego, który podczas dawania sygnałów

S. O. S. znajdował się w pobliżu i teraz zdąża na ratunek.

Na początku, gdy znalazł się w wodzie o jednym tylko myślał, jednego pragnął, do jednego celu zdążał: za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni. Później, gdy gruba, masywna stenga, której się uczepił i z którą razem zmyty został z pokładu tonącej „Czajki“, zagwarantowała mu życie na czas pewien, pragnąć począł gwałtownie, namiętnie, by mieć przy sobie kogoś z towarzyszy, żeby nie zostać samemu na swym kawale drewna, samemu wobec burzy, wichru i czarnej nocy. Teraz wszelako, gdy okrutny z głębin idący ziać przeniknął mu skórę, ścięgnął i kości, gdy ból poczuł w piersiach i znużenie we wszystkich członkach, zapragnął widoku kadłuba statku, zapragnął ratunku. To też wytrzeszczał oczy na burzę i wysiłał słuch. Lecz dokoła widział tylko potworne, rozpetane piekło, słyszał tylko huk, syk i pluskanie tłuczących o siebie wściekle bałwanów. Stenga ciskana nieustannemi rzutami wielkich grzywaczy, nurzała się w wodzie, wyskakiwała na powierzchnię, kręciła wkółko, szybko, zsuwała się po spadzistym grzbiecie dwunastego wału, stawała na sztorc, wykonywała jakiś obłąkany, niesamowity taniec.

Jan wpijał się w nią kurczowo sinemi, lodowatymi palcami, obejmował nogami, lgnął całym ciałem do jej zadziorów i źle zheblowanych sęków. Zdawało się, że to nie kawałka drewna, lecz życia samego trzyma się tak kurczowo rozbitek. Jan wiedział, że wypuszczenie z rąk stengi jest równoznaczne z odjęciem tych paru godzin życia, jakie mu jeszcze zostały. Wiedział również i to, że stenga niedługo będzie ratować i że wkońcu zmarznie do cna w lodowatej już teraz wodzie, że nie ruszy zdrętwiałą ręką i oderwany od zbawczego drewna pograży się na dno w płataninę wodorostów i macek polipów.

Na tę myśl jęk głuchy, beznadziejny dobywał się z głębi piersi. Zaczynał się modlić prędko, gorączkowo, bez sensu i składu. Prosił Boga i obiecywał, obiecywał i prosił. Obiecywał wszystko co mógł dać i co nie mógł, co miał i co jeszcze mieć będzie, dawał wszystko, a prosił o jedno, o życie, o ratunek. W obietnicach swych posuwał się do skazywania siebie w przyszłości na pokuty, samozaparcia się i katusze, jakby chciał męczarnią życia okupić mękę niebytu. Jak nikły cień błędziła za temi myślami świadomość, że niczem są wyrzeczenia się rozkoszy życia wobec ciemnej otchłani śmierci. I lęk błady chwycił go za serce, gdy widział, że nie posiada

nawet setnej części tego, czem mógłby zapłacić za życie. Ta świadomość swej nędzy wobec ogromu bogactw, któremi w mniemaniu jego obecnem należałoby opłacić życie, popychała go do czynienia Bogu obietnic wyrzeczenia się nie tylko tego co miał i mógł mieć, ale nawet tego, co było tylko nieziszczalnem pragnieniem, marzeniem całego żywota. W chaotycznych modlitwach swych i błaganiach wyrzekał się pragnienia posiadania Marji, ślubował nie pożądać jej nawet w myślach. Łkał i zaklinał się, że wyrzeknie się wszelkiej nadziei, że nigdy nie wzbudzi w duszy swej grzesznej myśli, która powstała na samym początku sztormu, że może tej nocy straszliwej stary Morz również...

Plącząc i jęcząc modlitwy trzymał stengę w śmiertelnym uścisku, rozbijając o nią w krew twarz, piersi i kolana, gdy fala potworna odciągała go od niej na długość wyprostowanych ramion i ciskała później wściekle na zadziory i sęki jakby mszcząc się za opór stawiany sobie.

W nieustannej tej walce z następującemi bez przerwy szeregami olbrzymich bełtów wyczerpywał się i słabł z zastraszającą szybkością. Oddech stał się częsty i przerywany, serce łomotało pośpiesznie. W płucach i gardle co chwila zachłystywanem pia-

nami coś darło i gniotło tak, jakby za chwilę już tchu nie miał złapać.

W pewnych momentach gdy rozwarte szeroko usta raz po raz chwyciły bryzgi słonych pian i płuca tłamsiły się zdławione w klatce piersiowej, morze, niebo i noc w oczach jego zlewały się w jedną przeraźliwą czerń, która przysuwała się blisko, otaczała ze wsząd, przygniatała i wnikała w końcu w serce i duszę.

W chwilach takich Jan czuł, że palce jego słabną i wypuszczają pień stengi. Wtedy wysiłkiem woli wrywał się do góry i z rykiem rozpaczy i strachu chwycił zachłannie ustami ożywcze powietrze.

W miarę tego, jak mijał czas, momentów tych było coraz więcej, aż wkońcu zamieniły się one w okresy podczas których ciemność zaścielająca wzrok i umysł rozbitka odrywała od stengi jego sine, kurczowo zaciśnięte palce. Dopiero budząca się w chwilach tych potężna wola życia rozpędzała przemocą koszmarną czerń i wlewała nowe siły w mdlejące już członki.

Trwało to jednak zbyt krótko, by go wzmocnić do dalszej walki. Ustawiczny brak powietrza i wzrastające z każdą chwilą znużenie otoczyły go nieprzerwaną zasłoną ciężkiej, koszarnej czerni. Jan czuł dwie noce: jedną co wisiała nad nim wraz z szumem

złowrogim i bryzgami fal i tą drugą, co całunem nieprzeniknionym okryła jego oczy i umysł. Gdy całun ten stał się tak czarny, że aż wydarł gdzieś z głębi bezdźwięczny głos przerażenia duszy, a myśli pobladłe i znużone uleciały wichrem poza krąg świadomości; zsiniałe palce Jana rozwarły się i wypuściły pień stengi. W nim i nad nim rozpostarła swe panowanie wszechpotężna noc. Stracił wszelkie czucie i moc. Świadomość gdzieś znikła zginęła. Wola życia unicestwiła się. I gdy ostatnie jej poruszenie zamarło gdzieś na dnie otchłani omdlałej duszy, Jan na tle czerni otaczającej go nocy ujrzał nagle Marję.

Była tuż obok niego. Widział jej piękną, białą twarz, okoloną falami bujnych, czarnych włosów, widział jej oczy ciemne, smutne, utkwione w swoich źrenicach. Nieomal fizycznie czuł jej drobne ciało przy swoim. W nagłym porywie miłości wyciągnął ramona. Wówczas znikła. Znikła i miejsce w którym była przed chwilą zapełniła znów ciemna, ciężka, grobowa mgła.

Duszę Jana przygniótł jakiś ciężar niezmierny, jak głaz mogilny, co dławi piersi umarłych. Krzyk straszny, głuchy, bolesny, z głębi trzewiów doarty wydarł się na usta. Z krzykiem tym wróciła doń przytomność i świadomość tego, co jest. Znów usły-

szał wycie wichru, ujrzał groźne, pienne wały i odczuł przenikający kości wilgotny ziąb. Z przerażeniem stwierdził, że stengi niema pod ręką. Oszałałym wzrokiem potoczył dokoła. Stenga rzucona falami znajdowała się o parę rzutów ramion poza nim. Ostatnim nadludzkim, raczej duchowym niż fizycznym wysiłkiem tonący dopchnął się do stengi i przywarł do niej zębami ze znużenia rozchodzących się szczęk, wpijając się w jej rozmokłe sęki i drzazgi. To chwilowe zabezpieczenie się od natychmiastowej śmierci popchnęło umysł Jana do zastanowienia się nad swoim położeniem. Teraz już wiedział na pewno że zginie. Jeśli go nawet orkan nie oderwie od stengi, to umrze ze znużenia, które już skuło okowami swe mi jego zsiniałe ciało, zameczy się na śmierć od bryzgów fal i strumieni słonych pian zalewających usta i gardło rozwarte dla złapania zbawczego tchu. Zginie nędznie, jak szczur na okręcie, zalewany przez załogę wodą z kubłów. Lecz przytępiony znużeniem umysł nie przerażał się już tak bardzo tą myślą. Jan z rezygnacją obojętną na wszystko łapał ustami powietrze, jak ryba wyciągnięta z wody, odczuwał ból w piersi i głuche łomotanie przemęczonego serca.

W obezkrwionym, osłabłym mózgu tonącego poruszyła się leniwie myśl, że postać Marji, którą wi-

dział przed chwilą, była wizją i że wizja ta zwiastuje już nadchodzący ostateczny bezwład ciała i śmierć.

Resztki instynktu życia pobudziły strach przed powtórzeniem się wizji i wywołały wolę do jej odparcia. Jan z całych sił umęczonej duszy bronił się od popadnięcia w nieobjętą moc czarnej nocy i ukazujących się w niej wizyj.

Daremny był trud. Znow zamilkły wichry i fale, chłód ustąpił z zsiniałych członków i pod zamkniętymi na głucho, jak wieko trumny powiekami, Jan ujrzał znowu cały korowód widm, postaci i obrazów z przeszłości.

Obrazy te przyobleczone w formę najważniejszych zdarzeń jego życia wpływały jeden po drugim gdzieś z głębin duszy przed oczy rozplamionej nagle jaźni.

Oto ujrzał wieś rybacką, w której po raz pierwszy światło dnia jasnego wniknęło w jego dziecinne oczęta. Widzi siebie małym pędrakiem, jak bawi się w piasku na brzegu morskim. Obok niego inne dziecko, kruszyna maleńka, trzyletnia Marja. Potężne morze szumi koło nich. Dzieciaki wsłuchują się w jego poważny, dobrotliwy szum i zdziwiony wzrok zatapiają w sobie. Dziwił ich zawsze szum morza, który przypomina szmer muszli przyłożonej do ucha.

Niedługo trwa to zdumienie, za chwilę bawią się już zaciekle w piasku, sprzecząc się od czasu do czasu.

Mglistym się staje ten obraz. Morze i niebo zlewają się w jedną, czarną ośmę, biała linia przybrzeżnego piasku, a z nią i figurki dzieci bledną, szarzeją, aż giną gdzieś w otaczającej wszystko mgławicy.

Inna wizja staje w duszy. Jan widzi siebie dwunastoletnim wyrostkiem, jak stojąc pod oknem dotychczasowej rybackiej chałupy, wyteżąc wzrok w głąb chaty, by ujrzeć Marję, towarzyszkę zabaw dziecięcych. Ostry, jesienny wiatr od morza przenika skórę dreszczami zimna, a strach przed Morzem wstrząsa bijące mocne serce dreszczami lęku. Nie lubi stary Morz Jana i zawsze wypędza go z chaty ilekroć przyjdzie on zobaczyć się z Marją. Stara wdowa, matka Marji nicby tam i nie miała przeciwko temu, mówiła nawet do Morża: „Co szkodzi, panie, że Jan przyjdzie czasami, niechby się pobawiły dzieci ze sobą skoro się lubią...“, ale stary Morz nie pozwalał nigdy i wdowa musiała mu ulegać.

I nic nie było dziwnego w tej uległości. Wszak od czasu śmierci ojca, Marja z matką były niemal na łaskawym chlebie u bogatego rybaka. Starowina wdowa nawet w części nie mogła pracą swoich rąk słabych opłacić pożywienia i izdebki, które im dawał

Morż. Dziwiła się nawet wieś cała znająca skąpstwo Morża, że przygarnął sierotę i wdowę. A no tłumaczyli sobie różnie ten kaprys starego kawalera. I dwunastoletni Jan starał się sobie to wytłumaczyć, a tłumaczenie było takie samo, jaki to, gdy zastanawiał się czemu go stary Morż nie lubi. Dlatego też pod oknem chałupy Morża stał zawsze z podwójnym lękiem w sercu: by nie być zbitym przez starego rybaka i żeby przez okno nie zobaczyć czegoś strasznego...

Znika wkrótce ta wizja i następuje inna. Morze szumi dokoła, a Jan, osiemnastoletni młodzieniec, siedzi z Marją w szalupie i wiosłuje przed siebie. Jest jasny, słoneczny dzień. Fale mieniające się lazurem lekko kołyszą łódź. W chwili pewnej gdy brzeg daleko się już odsunął od szalupy, Jan przestaje wiosłować i spogląda na Marję. Dziewczyna rozumie widać to spojrzenie, gdyż rumieniec oblewa jej policzki, a oczy wpatrzone w Jana, stają się zamglone, tkliwe, łagodne. Później Jan pyta ją o coś, a Marja przymknąwszy oczy kiwa głową na znak zgody. Twarz młodego jaśnieje radością. Chwyta za wiosła i szalupa odchodzi wciąż dalej i dalej od brzegu. Niknie w końcu zupełnie, a z nią razem znika morze, niebo i brzeg.

Znów czerń nieprzebita i znów wizja. Straszna,

koszmarna wizja. Widzi siebie Jan dwudziestoletnim mężczyzną. Stoi oto blady z wściekłości i rozpaczony przed wylekłą Marją i w twarz jej ciska obelgi. Marja drży na całym ciele i głosem przerywanym od płaczu mówi do niego:

— Wybacz mi Janku, odpuść... ciebie jednego kocham i ciebie tylko jednego kochać będę... ale inaczej nie można... naprawdę nie można. Jeśli się nie zgodzę, wypędzi z chaty i mnie i matkę. Cóż jeść wtedy będziemy? Gdzie żyć? Zginiemy z głodu. A ty nie zapracujesz przecie jeszcze na mnie i na matkę. Sam masz starego ojca, którego musisz żywić. Doprawdy, Janku, nie można inaczej. Muszę się poświęcić dla matki. Stara ona jest i słaba. Cóż z nią pocniemy, jeśli nas wygoni z chałupy? A wygoni na pewno, jeśli się nie zgodzę. Sam znasz przecie Morża... Trudno Janku, samej mi jest smutno bardzo i ciężko na duszy, ale inaczej nie można... doprawdy nie można... przebacz mi, mój chłopcze kochany... przebacz...

Jan tupać zaczyna nogami, krzyczeć i lżyć Marję. Nie panując już w końcu nad sobą podnosi rękę i uderza Marję w twarz. Wychodzi potem z chałupy i drzwiami trzaska. Lecz w tejże chwili żal srogi ścisną mu serce. Pada twarzą na próg chaty Morża i łka.

Z oczu leją mu się łzy rzęsiste, łzy oszalalej z bólu duszy.

Znagła przepada gdzieś okropna ta wizja. Nalatuje nań nowe widziadło upiorniejsze jeszcze od poprzedniego. Jest noc i dwa okręty żaglowe wypływają z portu na morze. Jeden z nich to „Czajka“: na sterze której stoi Jan, drugi „Kra“ własność Morża. Na pokładzie „Kry“ znajduje się stary Morż i Marja zaślubieni dwa dni temu. Dba o interesy stary, skąpy szyper Morż. Nawet młoda żona nie potrafi go od nich oderwać. Sprawia oto miesiące miodowe na morzu, dążąc na północ na połów ryb, który ma dać w tym roku zyski olbrzymie. Mała „Czajka“ płynie też na połów w tym samym kierunku co i wielka „Kra“. Spotkają się może nawet kiedy na wodach bezkresnych. Jan nie pragnie tego spotkania. Chce zapomnieć, zapomnieć za wszelką cenę. Ręce jego, dzierżące krzepko szprychy koła sterowego, ulegają jedynie karności morskiej. O gdyby nie to, gdyby wola jego, zakreśliłby szeroko szturwałem i skierował dziób „Czajki“ w przeciwnym kierunku, tam gdzie nie płynie „Kra“, a na niej Marja i Morż.

Jednak oczy Jana odrywają się co chwila od róży kompasu i biegną tam w ciemną dal, gdzie migoce

światelko na pokładzie „Kry“. Światło to oddala się i maleje w miarę, jak wzrasta odległość między statkami. Wkońcu staje się tak małe, że już jako punkcik tylko błysk od czasu do czasu gdzieś na widnokręgu zlewającym się z ciemnym niebem. W pewnej chwili jednakże gdy ma już zniknąć zupełnie staje się rzecz dziwna. Światło zwiększa się gwałtownie, przybliża, robi się rażące i mocne.

— Albo pożar — myśli Jan — albo „Kra“ zawróciła z powrotem.

Tymczasem światło jest coraz bliżej i bliżej, zyskuje na napięciu i sile, aż skakać zaczyna wdół, w górę i w boki. W końcu luną oślepiającą zalewa oczy Jana. To już nie światło na „Krze“, to ktoś zbliżka świeci mu w twarz skaczącą we wszystkie strony latarnią. Jednocześnie Jan czuje ostry ból w plecach. Ból ten trzeźwi go trochę. Wracająca przytomność zaczyna walczyć z widziadłami. Jan nie wie już, czy to szprych szturwału czy drewna jakiegoś trzymają się tak kurczowo jego ręce. Ale coraz ostrzejszy ból w plecach oprzytamnia go coraz bardziej. Słyszy teraz złowrogi poszum fal i syczenie pian. Jedną ręką chwyta za plecy, gdzie czuje ten przenikliwy ból. Palce napotykają żelazo. Jan patrzy na to żelazo, i jak przez gęstą, grubą zasłonę widzi drąg bosaka,

którego ostrze wpija mu się w plecy. Ból zagnęła ustaje i Jan czuje, że czyjeś silne ramiona ciągną go w górę, przeciągają przez coś i ciskają wkońcu na twarde. W oczy łyśka mu ciągle oślepiające światło. Z chwilą jednak, gdy ustaje ból w plecach, światło zaczyna blednąć, maleć, oddalać się, aż gaśnie zupełnie. Jan znów traci przytomność. Wraca go do niej jakaś okropna, nieludzka szarpanina. Jan czuje, że go szarpia za ręce i nogi, duszą, taczają, leją weń coś od czego pali w gardle i piersiach. Powoli świadomość i czucie wraca. Jan otwiera oczy i widzi nad sobą surową, pomarszczoną twarz Morza.

Jan szeroko otwiera oczy i jasnym, zlekka zdziwionym wzrokiem patrzy przed siebie. Pokład „Kry“ i szeroki horyzont dokoła zalewają świetliste promienie wschodzącego słońca. Powierzchnia morza wprawdzie wzburzona jeszcze i połyskująca bielą baranków fal, od wczorajszego uspokoiła się znacznie i powoli, rytmicznie jakby leniwie i z trudem unosi i opuszcza na grzbietach swych wałów kadłub „Kry“. Niema już wczorajszego sztormu, rzucania statkiem jak piłką w górę i w dół, uderzeń i wstrząsów, wycia i ryku wichury. Żywioly wyczerpały swoją wściekłość i szal i teraz uspokajają się, cichną powoli,

jakby równomiernem tem uspokojeniem dawały do zrozumienia, że za kilka godzin wiatry ścichną i powierzchnia bałwaniących się jeszcze, bezkresnych wód przypominać będzie idealną szklaną tafłę, w której przegląda się ciepłe, jasne słońce.

Jan przymyka rozkosznie oczy i myśl o tem, że jest uratowany i że już nic nie zagraża jego życiu, do spółki ze słońcem rozprowadza przyjemne ciepło w piersi i w całym ciele.

Rozbitek czuje, jak pod promieniami ożywczego słońca schnie na nim ceratowy płaszcz, ziujdwestka, bielizna i wracają siły w znużone kończyny i tułów. Powtórnie otwiera oczy i już całkiem przytomnie, z pełnią świadomości spogląda dokoła na wszystko co znajduje się w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Spostrzega starego szypra Morza, a za nim, tu czuje słabe, ledwo uchwytnie ukłucie serca, tuż, tuż widzi Marję. Oczy jej są jeszcze wilgotne i zaczerwienione, jakby przed chwilą dopiero płakała. Teraz wszelako, gdy Jan otworzył oczy i poruszył się zlekka, usta jej okrasza cudny, dobry uśmiech radości i szczęścia. Szyper pochyla się nad uratowanym i sączy mu w usta konjak wprost z szerokiego otworu butelki.

Jan krzywi się i pluje. Konjak jest dlań obrzydliwy w tej chwili. Smak jego czuje w ustach, gardle,

żołądka, w kiszkaach nieomal. Uprzednio już widać wiano weń tego trunku ilość niepoślednią.

Jan wypluwa sobie na pierś, przemocą wlany konjak i zdecydowanie odwraca głowę od butelki.

— Pij, pij — mówi Morż chrapliwym, nieprzyjemnym głosem — pij, bo jeszcze zdechniesz mi tutaj z osłabienia. Słaby jesteś, jak śledź w marynacie.

— Hy... — wykrztusza Jan ze ściśniętego i obolałego gardła — hy... nie mogę.

— Czemuż to nie możesz, plugawy sterniku?

— Nie mogę, panie, gardło mi pali.

— No, jak chcesz. A nie zdechniesz bez konjaku?

— Nie zdechnę, panie, ja na niego nie taki łapczywy, jak ty.

W gromadzie otaczających ich marynarzy rozlega się tłumiony śmiech.

Morż odwraca się gniewnie.

— Nuże do pracy darmozjady, co tu zęby szczerzycie? Zrobiliście swoje i dobra. A teraz poszli precz! No już!

Marynarze powoli, niechętnie rozleźli się w różne strony. Stary Morż i Marja zostali sami z leżącym na grota luku Janem.

Na chwil kilka zapadło milczenie, które pierwsza przerwała Marja.

— Jakżeż się czujesz teraz? — spytała, zwracając się do Jana.

— Dziękuję — odparł — teraz już dobrze mi.

— Długo byłeś w wodzie, biedaku?

— Nie wiem dokładnie. Może sześć, może osiem godzin. Nie pamiętam kiedyście mnie wyciągnęli. Straciłem przytomność wkońcu.

— A cóż się stało z „Czajką“? — wtrącił się do rozmowy Morż.

Jan w krótkich słowach opowiedział losy „Czajki“ w tym sztormie.

— Zatonęła — mówił — porwało nam żagle, fok runął na samym początku burzy, później fale zmiotły nadbudówki i ukazała się ciecz w środkowym triumie. Na djabła się zdały przegrody boi w achterpiku, zaczęło przepuszczać. No, a gdy jeszcze wszystkie beczki z solonemi fischami przetoczyły się na bakburte, to już fale nic sobie nie robiły z „Czajki“, przelewały się najspokojniej przez pokład. Wtedy to właśnie zmyło mnie do wody. A w jakiś kwadrans potem znikła w falach „Czajka“. Nie uratował się nikt oprócz mnie.

— Tak — rzekł Morż — otrzymaliśmy S. O. S.

z „Czajki“ i dążyliśmy na ratunek. Spóźniłem się, niestety, o kilka godzin. Uratowałem tylko jednego. Dobrze i to. Chociaż mówiąc prawdę żałuję bardzo, że właśnie ciebie, a nie kogo innego wyciągnął z wachy.

— Mnie natomiast — rzekł Jan ze złym błyskiem oczu — w nieszczęściu mojem pociechą jest przekonanie, że ci choć tę drobną przykrość zrobił niechcący, panie!

— Żartuj zdrów — odparł spokojnie Morż — jeszcze żałować będziesz, żeś mi zrobił tę przykrość. Jak tylko okrzepniesz, wezmę cię do roboty. Cóż myślisz? Darmo ci dam ryby moje i suchary zżerać, he?

— Nie bój się Janie — odezwała się Marja — ja ułagodzę męża.

Jan nie odpowiedział nic. Pomyślał tylko jak to Marja ułagadzać będzie starego Morża.

— Zbieraj się teraz — rzekł szyper — i idź na rufę. Będziesz miał kajutę koło mojej. Dam ci się w niej odsapać dni parę. Ozdrowiejesz, odpoczniesz i do roboty. Nie było i nie będzie u mnie na pokładzie darmozjadów.

Jan przy pomocy jednego z marynarzy dźwignął

się ociężałe z grota luku i powlókł na rufę do wyznaczonej mu kajuty.

Wchodząc do niej zauważył na drzwiach sąsiedniej kajuty mosiężną tabliczkę z wytłoczonym napisem: „Schiper“.

— Prawdę powiedział Morż — pomyślał Jan, walcąc się na kojce — dał mi kajutę obok swojej.

I naraz myśl pewna, jak piorun jasny przeszyla mózg. Zrozumiał.

— Bydlę — wykrztusił przez zciśnięte zęby.

Nie mógł jednak myśleć długo. Docna zmęczony organizm domagał się odpoczynku, żądał gwałtownie snu. Powieki opadły i ciało ogarnął słodki bezwład. Jan twardo zasnął na kojce przykryty swym ceratowym, wilgotnym jeszcze płaszczem. Sny miał ciężkie, koszarne. Widział się znów wśród rozszalałych fal burzy, a nad nim i przed nim była głucha, beznadziejna noc. I w ciemnej otchłani tej nocy ukazywał się statek jakiś, na pokładzie, w którego w jasnych snopach światła widział Marję i Morża. Morż, gorylim chwytem objąwszy Marję, trzymał ją jak w kleszczach w żelaznym uścisku swych ramion. Siwy, kudłaty łeb jego błędził po twarzy i szyji Marji, wyciskając na nich ogniste pocałunki. Marja szarpała się bezsilna w jego objęciach. Wtedy Jan rozpaczli-

wym wysiłkiem wydrzeć się starał sennej niemocy, wychynąć z wodnej otchłani i dążyć na ratunek. Ale moc jakaś niezłomna trzymała go krzepko w swych szponach. Charczał więc tylko, męką beznadziejną dławiony. Obudził się od miękkiego dotknięcia ręki kobiecej. Marja stała obok kojki i pieszczotliwym ruchem gładziła jego bujne, zwichrzone podczas snu włosy.

— Długo spałeś — rzekła łagodnie — przespałeś cały dzień i noc następną. Jakże się czujesz teraz?

Zrazu nie odrzekł nic. Spojrzał jej tylko długo, przeciągle w źrenice, a potem odwrócił głowę do iluminatora.

Za szybą, w świetle słonecznym, łagodnie pluskały fale nie większe od małego delfina. Cisza była zupełna. Najlżejszy podmuch wiatru nie marszczył niezmierniej tafli wód. Po sztormie nastał beznadziejny, martwy sztil. Jan odwiódł wzrok od szyby i zamknął oczy. Nie chciał patrzeć na Marję. Po przejściach marzeń sennych nocy ubiegłej nieznośnym był dla niego jej widok. Wszelako po chwili znów uniósł powieki i spojrzał jej w oczy. Nie mógł przewyciężyć tęsknoty wzroku swego do postaci Marji. Było jednak coś w spojrzeniu jego, co niemile tknęło

kobietę. Odwróciła się w stronę i, nie patrząc na niego, spytała:

— Cóż mnie tak gniewnie mierzysz oczyma?

— A cóż to — tym samym tonem spytał Jan — już mnie i spojrzeć nawet na ciebie nie wolno? Do Morza tylko to prawo należy? Co?

Ostrożnie, nieśmiało, jakby z lękiem jakimś, usiadła Marja na brzeżku kojki.

— Nie gniewaj się — rzekła.

— Eeeeh... „nie gniewaj się“ — Jan gwałtownie niemal z wściekłością odsunął się od Marji do ściany — drwiesz chyba sobie ze mnie, kobieto!

— Cóż ci jest, Janku — pytała Marja z troską w głosie — czemuż się gniewasz?

— Gniewasz się... gniewasz się... — szarpał się Jan w złości bezsilnej — minął już czas gniewów. Pół roku temu tom się gniewał na ciebie, pamiętasz?

Marja opuściła głowę na piersi.

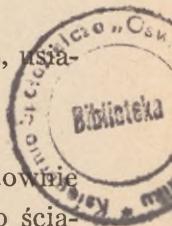
— Teraz się już nie gniewam. Teraz to już co innego. Teraz to gorsze niż gniew.

— Cóż teraz? — cicho spytała Marja.

— Nic. Grodzie cienkie tu na statku, ot co.

— Jakie grodzie Janku?

— „Jakie“, „jakie“... te wszystkie na statku. Ot ta chociażby co dzieli tę kajutę od waszej... waszą...



twoją... i... Morza — wykrztusił z siebie jakby z wysiłkiem ogromnym.

— Cienkie — dodał jeszcze — słyhać przez nie wszystko wspaniale.

— Słyszałeś? — ledwo dosłyszalnym szeptem, nie patrząc nań spytała Marja.

— Co nie miałem słyszeć, słyszałem. Bardzo dobrze słyszałem.

Z piersi Marji wydarło się westchnienie ciężkie, do jęku podobne.

— A dlaczegoś się spytała, czym słyszał — zagadnął Jan — to znaczy i dziś w nocy było?

Marja nie odpowiedziała nic. Milczała.

— Taaaak — Jan uśmiechnął się krzywo. — Bawią się sobie mąż i żona, bawią. No i cóż, bawcie się sobie dosyta, do ranka białego, na to przecież i jest małżeństwo. No, nie?

Milczała Marja. Tylko jedna noga jej wybijała nierówny, nerwowy werbel w podłogę.

Zamilkł i Jan. Tępo, uporczywie patrzył w deski górnej kojki. Pierwsza odezwała się Marja.

— Nie mówmy już o tem, Janku, — rzekła — opowiedz mi lepiej coś robił podczas naszego rozstania.

— Dobrze — odparł Jan — nie mówmy o tem.

Zapóźno już na rozpacze i żale. Nie wspomnę ci tego ani słówkiem. Ale i ty ze swej strony — uśmiechnął się drwiąco z wysiłkiem — i ty staraj się, przynajmniej tej nocy ostatniej, gdy jeszcze tu spać będę i ty staraj się te swoje małżeńskie obrzędy z Morzem odbywać ciszej nieco. Zasnąć nie można. Przeszkadzacie.

— Dobrze, dobrze, nie mówmy o tem. Opowiedz teraz o sobie.

— Ano cóż — Jan skrzywił się niechętnie — ciekawego mało. Ja, jak wiesz, żonaty nie jestem, nie wożę ze sobą żony na statku to i cóż ciekawego u mnie być może? Szaro, smutnie, beznadziejnie. Gdybym się ożenił możeby mi tak źle nie było. Ale cóż? Ubogi jestem, a ta którą kochałem, chciała mieć bogatego męża, bawić się, uważasz, chciała. A jakże się tu bawić bez pieniędzy? Nie można przecie. A jakże tu wziąć pieniędzy inaczej, jak poślubiwszy bogatego starucha? Inaczej nie można przecie.

— Milcz, Janie — przerwała Marja, gniewnie błysnąwszy oczami, — ty wiesz, dlaczego ja to zrobiłam, wiesz dla kogo?

— Wiem, wiem — Jan uśmiechnął się drwiąco — ofiara, poświęcenie, bohaterstwo, stara matka w nędzy, dług wdzięczności, obowiązek — stara pieśń,

stara piosenka z przed pół roku. Nie śpiewaj jej. Znam na pamięć.

— A więc tak, więc ty tak — Marja zerwała się na nogi — więc zamiast pocieszyć mnie w nieszczęściu, ty jeszcze drwisz, znęcasz się nade mną?

— Pocieszyć... pocieszyć... — Jan wybuchnął złym śmiechem — biedaczko ty moja, ofiaro nieszczęsna starczych chuci, pocieszyć ciebie? Chcesz jeszcze, żebym ciebie pocieszał? Pan Bóg już tam ciebie niech tak pocieszy po śmierci, jakieś ty pocieszyła mnie. Nie bój się, Bóg wszystko wie i widzi, kto dla matki starej ofiarę robi, a kto dla pieniędzy i zabawy depce miłość i życie ludzkie. Nie bój się!

Marja, nie patrząc na Jana wybiegła z kajuty, trzasnęła drzwiami.

Jan został sam. Nasłuchiwał przez chwilę oddalających się kroków Marji, ale zamilkły one niebawem zaginęły w poklaskiwaniu żagli i skrzypieniu rej bresowanych ustawicznie w celu złapania słabego wiatru. Został sam ze swemi myślami.

Z początku zastanawiać się zaczął nad obecnem swoim położeniem, wytworzonym awarją „Czajki“. Chciał myśleć o życiu codziennem, o pracy jaka go czeka. Ale wkrótce złapał siebie na tem, że zamiast o służbie myśli o Marji i przekonawszy się, że nie

przewycięży strasznej swej dumy pogrążył się w niej z rozwagą, trzeźwo, z zimnem okrucieństwem dla siebie samego. Począł roztrząsać wszystko od początku do końca.

— A więc tak — myślał Jan — była sobie Marja i byłem ja. Dwoje takich małych pędraków. W piasku się razem pędraki bawiły, psy wiejskie do spółki kamieniami ganiały. Wesoło im było ze sobą. Dobrze. Nikt wtedy i uwagi nie zwracał na Marję. Nikogo ona nie obchodziła. Brzdąc taki mały. Ja jeden tylko przestawałem z nią ciągle, lubiłem tego małego szkrapa. No i ona też wolała mnie przecież od innych dzieci wiejskich. Dobrze. Pięknie. Podrośliśmy zatem. Oczywiście i zabawy się zmieniły gwałtownie. Mąż i żona. Lubiała ona tą grą się zabawiać. Garnki, znaczy, rondle, pieluchy, dziecko uczynione z traw morskich, a ja wyprawy przedsiębrałem rybackie na desce o dziesięć stóp od brzegu. Wracalem po kilku minutach; radość, oczywiście, lzy, uściski, tak jak dorośli zupełnie. No, ot. Podrośliśmy jeszcze trochę, a więc i spacerzy się zaczęły po brzegu i do lasu. Przy księżycu, oczywiście. Jakżeby inaczej? Należało przecież robić tak jak dorośli. Różni nas, pamiętam, w skórę, jak w bęben, za te nocne wyprawy. Ale nic — trwaliśmy przy swoim. Niebawem i polep-

szło się nieco w tym względzie. Umarł, znaczy, ojciec Marji. Matka jej stara, słaba, nie mogła jej już tak sama pilnować. Cieszyłem się wtedy przeraźliwie, pamiętam, gdy wykitował jej ojciec. Swobody więcej. Pokazało się wszakże niebawem, że nie w pożytek mi była śmierć tego człowieka. Morż przecież zainteresował się wdową i sierotą, przygarnął do siebie, zaopiekował się. Spodobała mu się już wtedy Marja, swą uwagę na nią zwrócić raczył. Najbogatszy rybak, stary szyper Morż, śledź lubieżny. Gorzej już wtedy było z temi spacerami przy księżycu, nie dawał stary polip. Sam już pono na oku miał Marję. Ano nic, potajemnie jakoś udawało się od czasu do czasu zobaczyć. Większa jeszcze przyjaźń między nami stanęła. Wyrosłem ja, chłop się ze mnie uczynił niczem wieloryb. Poszedłem, znaczy, w pierwszą, daleką wyprawę rybacką na ocean. Wikingiem wróciłem. Łapy jak u kotwicy, nogi jak maszty, gęba rekina. Wiking i tyle. Wtedy to i zauważył, że Marja mnie kocha. A ja.. cóż się mam jeszcze zastanawiać nad tem czym kochał.. fajna już wtedy była dziewczyna ta Marja... wiadomo. No, tak. Morż też wywachał co się święci. Całkiem zabronił widywać się ze mną. Miał przecież prawo do tego — żywił i ją i matkę. Dobroczyńca. Ale nic nie pomogły zakazy. Jeszcze gorzej. Częściej

widywaliśmy się. No i raz na szalupie gdyśmy odjechali od brzegu, poprosiłem ją, żeby była moją. Zgodziła się. No bo jakżeż? Kochała przecież. Morż się jakoś chytrze o tem wywiedział. Postanowił działać szybko. Skorzystał, gdym na półroczną poszedł wyprawę i zrobił swcje. Gdym wrócił, załatwione już było wszystko. Ślub za trzy dni. Przymusił matkę, a jej zagroził, że wyrzuci na ulicę i ją i tę chorą... matkę. Zgodziła się. Płakała podobno, rozpaczała. Rozpaczała, ale cóż ona... ja... Prosiłem ją, błagałem, nogi całowałem. Nic. „Matka... — powiada... — muszę“. W pysk żem jej wtedy dał rzetelnie. Ale nic. I to nie pomogło. „Matka... — powiada... — muszę, bo inaczej na ulicę wyrzuci“. Rozpaczała bardzo, ale cóż ona... ja. Docna te sztachetki co kościół otaczają obgryzłem. Jak ślub brali. A później... ta noc. Hej, zimna była fala w morzu tej nocy. Ale nic, nie złapał skurcz. Wypląnąłem. Nie dało zginąć to coś, co w środku siedzi i woła żyć... żyć... Nic. Wypląnąłem. Tak i nie wiedział nikt. Wybrali się oni na wyprawę razem. Morż i Marja. Skąpy szyper, łapczywy na pieniądze, nie chciał opuszczać połowu. A może się i bał Marję samą zostawiać. Zabrał ze sobą. No, ja też na wyprawę poszedłem. „Czajka“. W jednym kierunku poszły „KRA“ i „CZAJKA“. Hej! Ciężkie

to były noce na „Czajce“, gdym myślał o każdej godzinie nocy, i na wachcie i w hamaku, co oni tam robią ze sobą na „Krze“. Hej. Pogryziony był mój hamak, jak sieć wyglądał...

Łzy gorzkie, łzy rozpacz i bólu trysnęły z oczu Jana. Runął twarzą w pościel i lkał.

Skrzyp drzwi w sąsiedniej kajucie wstrząsnął nerwami Jana. Jak pod naciskiem potężnej sprężyny zerwał się i bezszelestnie siadł na posłaniu. Zamienił się cały w słuch. Przymknął nawet oczy, żeby lepiej słyszeć. W kajucie szypra toczyła się jakaś rozmowa. Jan rozróżniał dwa głosy: głos Marji i Morża. Natężony wysubtelniony słuch chwycił łapczywie wszystkie nuty i tony głosów mężczyzny i kobiety. Ale nie dosłyszał nic szczególnego, była to zwykła codzienna rozmowa.

Jan rozwarł oczy i wpatrzył się w ciemny, okrągły kształt iluminatora. Za szybą była czarna, beksieżycowa noc. Tuż, tuż za żelaznemi listwami burty łagodnie bulgotały fale, jak woda wylewana z butelki. Cisza była zupełna, na pokładzie i morzu. Nie klaskały nawet obwisłe na bezwietrzu żagle. Od czasu do czasu tylko z baku dolatywał głos wachtowego na „oku“: światła się paląąą! i zarazże tuż nad głową

Jana brzmiała śpiewna odpowiedź starszego oficera:
Dobraaaa!

Jan cicho, ostrożnie żeby nie opuścić ani jednego odgłosu z sąsiedniej kajuty wyciągnął się na swojej койce. Szły sekundy, minuty, kwadransy. Dzwon okrętowy czterema podwójnymi uderzeniami targnął ciszę nocną.

— Północ — pomyślał Jan.

Oczekiwanie zaczęło go dręczyć. Pragnął gorąco, żeby już coś nareszcie się stało. W myśli popędzał niemal tamtych z za przegrody, żeby nareszcie zaczęli to, czego się bał tak strasznie i czego czekał już od rana samego. Przypominał skazańca, wyciągającego pośpiesznie szyję pod cios katowskiego miecza.

W pewnej chwili drgnął. W kajucie szypra urwała się nagle rozmowa i dał się słyszeć odgłos dmuchnięcia gaszącego świecę. Jan wyprężył się cały jak struna. Szeroko rozwarły się oczy, otworzyły usta. Wsparł się na łokciu, nasłuchiwał. Serce mu biło pośpiesznie, w uszach i skroniach łomotały puls. Nic słyhać nie było. W ciszy nocnej bulgotała tylko fala za burtą i poskrzypywały wiązania. Tak minęła minuta jedna, druga i trzecia. Jan trwał ciągle w swej półleżącej pozycji.

Nagle jakby obcą jakąś, wszechmocną siłą szarpnię-

ty wyskoczył z pośłania i stanął na środku kajuty. Z za przegrody dał się słyszeć skrzyp kojki, szmer bosych nóg i znowu skrzyp. Jan podbiegł do przegrody i ucho przyłożył do deski. Szeroko rozwarte oczy jego chorobliwym, fosforycznym blaskiem świeciły w ciemności. Słuchał. Z za przegrody w różnych odstępach czasu jakby wybijając rytm jakiś skrzypiały deski kojki. Zrozumiał. Krzyk straszny, krzyk głuchej, beznadziejnej rozpacz rozległ się w duszy. Nie wydarł się na zewnątrz. Milczały blade, trzęsące się wargi. Pięście tylko kurczyły się i rozwierały naprzemian. Wbijał paznokcie w gołe uda i darł skórę do krwi. Ale ból ciała nie unicestwiał męki duszy. Myśli koszmarnie, obrazy fantastyczne, strzępy słów jakichś i przekleństw huraganem pędziły przez mózg. Czuł, że długo tej męki nie będzie w stanie wytrzymać. Skokiem jednym znalazł się przy kojce, runął na pośłanie, rękoma zatknął uszy, zacisnął oczy. Bezsilnie rzeźił w poduszkę. W chwili tej jednego pragnął — nic nie słyszeć, nie widzieć, nie czuć, nie myśleć. Chociażby umrzeć zaraz. Niedługo trwał taki stan. Nie mógł wytrzymać niewiedzy. Rozpłomieniona fantazja wskrzeszała jaskrawe, szczegółowe, chorobliwe obrazy. Wolał pewność od niepewności. Odrywał jakby przemocą ręce od uszu, otwierał oczy i słuchał.

I wtedy jęczał głucho, nie licząc się z niczem, zęby wpijał w deski kojki. Męka jego zwiększała się ciągle, przerastała siły, przytomność, panowanie nad sobą. Czuł, że chwila jeszcze, a zerwie się i krzyknie na cały głos: dość, dość już tego! Dość na Boga!

I nagle ni stąd ni zowąd z jakiegoś ciemnego zakamarku mózgu wyslizgnęła się myśl nowa. Wzrosła, spotężniała w mgnieniu oka i zestarzała się. Stało się tak jakby razem z Janem ta myśl na świat przyszła. Taka była znajoma i stara. Ochłódł w jednej chwili, zamknął, zaciął się w sobie. Powoli, lecz pewnie dźwignął się z kojki. Wciągnął spodnie, bluzę, buty, płaszcz i ziujdwestkę. Czyny te były następstwem myśli, co się zrodziły z tamtej pierwszej. Gdy był ubrany, nastawił ucha. Nie słuchał już szmerów z zagrozi. Odeszły od niego, odsunęły się na plan drugi. Nasłuchiwał czego innego. Podsunął się pod otwór nawiewnika. Stał na kojce, całą głowę włożył do rury. Słuchał. Cisza panowała na pokładzie. Zamilkły nawet kroki starszego oficera. Zdrzemnął się pewnie w rupce.

Jan zeszedł z kojki i cicho, ostrożnie otworzył drzwi na korytarz. Nie było nikogo. Wtedy szybkim krokiem na palcach minął korytarz i wyszedł na pokład. Ciemność i pustka. Migotały tylko światła po-

zycyjne na baku i rufie i w świetle, niewyraźnie majaczyły dwie sylwetki: sternika i wachtowego na „oku“. Reszta wachty drzemała widać gdzieś pod brezentem na grota luku. Na fok maszcie widniało wśród czerni nocy, jak widmo białe, płótno dolnego marsła. Jan niepostrzeżenie, jak cień przemknął po pokładzie i wszedł do kambuza. Zagarnął stamtąd pod połę płaszcz duży, ostry nóż do dzielenia mięsa i wymknął się na pokład nawet nie zbudziwszy kucharza. Ręka jego kurczowo lecz jednocześnie pewnie zacisnęła się na rękojeści noża.

'Od tej chwili nie widział już, nie słyszał i nie pamiętał nic. Oprzytomniał dopiero przed drzwiami kajuty szypra. Cisza tam już panowała zupełna. Słychać było lekkie, jakby ostrożne chrapanie Morza.

— Spią — pomyślał Jan. — Tem lepiej.

Ujął ręką klamkę i czekał jeszcze. Nic, głucho było dokoła. Raptem drgnął.

— Światła się palą! — rozległ się okrzyk na baku.

— Dobraaaa! — odpowiedział mrukliwy, rozspany głos.

— Djabli! — pomyślał Jan — rozbudzą tamtych wrzaskami.

Czekał jeszcze parę minut, a potem powoli lecz

pewnie otworzył drzwi. Wśliznął się do kajuty ostrożnie, jak wąż. Stał na środku i nasłuchiwał.

Z pod wewnętrznej grodzi kajuty dolatywało wyraźne już teraz i jakby głośniejsze chrapanie Morża. Oczy nawykłe do ciemności rozróżniać zaczęły przedmioty. Zobaczył dwie kojki. Jedna była pusta.

— Aha — pomyślał zaciskając zęby — zaraz.

Mgła różowa zasłoniła mu oczy.

— Zaraz — pomyślał jeszcze.

Podszedł omackiem do kojki Morża. Pochylił się. Morż spał z otwartymi ustami nawznak, z brzegu kojki. Marja leżała przy ścianie plecami do Morża.

— Zaraz — mruknął Jan, czując jak mu się trzęsą kolana i ręce, — zaraz.

Wydobył nóż z pod płaszcza ujął w prawą rękę. Lewą powoli, ostrożnie odchylił kołdrę. Zaczął przymerzać cios w piersi Morża. Opuścił jednak rękę i nóż przyłożył do piersi śpiącego w miejscu, gdzie wyczuwał bijące serce. Przez moment nie mógł się zdecydować. W chwili jednak następnej sam nie wiedząc, jak nawalił się całym ciężarem na rękojeść noża. Duże, szerokie ostrze całe zagłębiło się w piersi śpiącego. Coś ciepłego bluznęło na rękę Jana. Morż wyprężył się, drgnął. Niegłośny, urwany okrzyk wy-

darł się z gardła i zamarł w szeleście bijących w pościel nóg.

Jan wyciągnął nóż z rany i zadał cios drugi i trzeci. Morz znieruchomiał. Leżąca obok Marja poruszyła się i spytała przez sen: co to?

Spadły na nią dwa uderzenia niemal równocześnie. Jedno poszarpało piersi, drugie rozdarło brzuch na całą szerokość. Krzyknęła głośno, a później jęczeć zaczęła, wijąc się z bólu. Ale Jan wściekłą pięścią zatkał jej usta, nie czując, jak go gryzie i drapie w rękę, a drugą, nożem zaczął piłować gardło. Krew z bulgotem i charkotaniem lunęła z otwartej rany.

Jan odjął nóż od gardła i z rozmachu wbił go po rękojęść pod lewą pierś Marji. Ciało drgnęło po raz ostatni i zastygło w bezruchu. Wtedy Jan bić zaczął nożem to martwe ciało w pierś, w brzuch, w twarz i nogi. Darł, szarpał je na strzępy, niweczył. Zdawało się, że tak jak silna była i bezgraniczna jego miłość, tak teraz taka sama silna i bezgraniczna nienawiść kierowała jego ręką.

Plusk krwi leżącej się na podłogę wrócił mu przytomność. Porzucił trupa i odszedł od kojki. Nóż cisnął na podłogę. Pośpiesznie, jakby w ucieczce wyskoczył na korytarz, a później na pokład. Pełną pierśią zaczerpnął wilgotnego powietrza. Stał i nasłu-

chiwał przez chwilę. Nic nie mąciło ciszy czarnej nocy. Jan zbiegł po schodni do międzypokładu, a stamtąd opuścił się na dno ciemnego trium. Zapalił latarnię i zaczął działać. Ujął w ręce wielki świder i podszedł do burty. Przyłożył ostrze do żelaznej burty i zaczął borować.

— Głupstwo — mruknął po chwili — trzeba inaczej.

Porzucił świder i wybiegł na pokład. Wlazł na rostry. Tu poprzecinał szlupliny wszystkich szalup. Zostawił tylko parę przy jednej, najmniejszej. Wykonawszy to, niespostrzeżony, znów powrócił do trium. Latarnia paliła się tak, jak ją zostawił. Wziął w ręce porzucony świder, lecz tym razem nie podszedł już do burty tylko do jednego z olbrzymich o kilkudziesięciu metrach sześciennych objętości zbiorników ropy do motorów. W kilka minut wyborował otwór. Pocięła z niego gęsta, cuchnąca ciecz. Zastruganym na prędcie kołkiem zatknął, zabił otwór. Później wyszukał długą na kilka sążni, cienką, smołoną linkę i wyjąwszy kołek wepchnął nim jeden koniec linki w wyborowany otwór zbiornika. Drugi zaciągnął w przeciwległy kąt trium i zapalił od latarni.

Następnie błyskawicznie wyprysnął z trium po

żelaznej drabince, zawalił wejście belkami i wybiegł na pokład. Rozejrzał się wokół. Pusto było na pokładzie. Po fałszburcie wskoczył na rostry i dorwał się do swojej szalupy z niepoprzecinami linami. Nakręcił szlupbelki nad wodę, wlaźł do szalupy i zluźował liny. Szalupa dnem spadła na fale oderwawszy się od statku. Jan poderwał się z ławy, na którą padł w czasie opuszczania się szalupy i ujął za wiosła. Burta „Kry“ wolno przesuwiała się obok. Jan odepchnął się od niej bosakiem i z całych sił powiosłował w czerń nocy. Pióra wiosel gięły się jak trzciny pod naporem potężnych ramion, fale chrobotwały pod kilem. Sylwetka „Kry“ roztopiła się w czarnej nocy, zniknęła.

Po dwóch minutach w ciemnościach buchnął do góry olbrzymi słup ognia i luną odbił się w niebie. W powietrzu rozległ się huk potężny i potoczył się, jak grzmot po czarnej powierzchni fal, zalanych czerwonymi odblaskami ognia.

Jan wiosłował coraz prędzej i prędzej.

DOMEK KAPITANA DALEKIEJ ŻEGLUGI

Zacząło się od tego, że kapitan Skalski pod koniec jednego, bardzo długiego i bardzo uciążliwego rejsu oświadczył załodze przy jakiejś okazji, że gęby jej członków, rozmowy ich oraz ustawiczne plugawe przekleństwa obrzydły mu już oddawna i do szczytu. Oświadczenie to zdziwiło niezmiernie marynarzy, gdyż Skalski, kapitan dalekiej żeglugi, oglądał ich, co prawda, niezbyt wykwintne lecz tem nie mniej sympatyczne oblicza już od dziesięciu lat, czyli od chwili gdy został przeniesiony przez dyrekcję towarzystwa okrętowego z załogi czterokominowego „Lewjatana“, gdzie był starszym oficerem, na „Niobe“, na której dano mu stanowisko komendanta. Przez tak długi okres czasu do „gęb“ nawet najpaskudniejszych można się przyzwyczaić, zaś nigdy obrzydzić ich sobie, do tego stopnia, żeby aż wiadomością o tem „obrzydzeniu“ dzielić się właśnie z temi „obrzydzonemi gębami“.

Jeszcze dziwniejszym się wydawał wstręt kapita-
na Skalskiego do „plugawych przekleństw“, gdyż
on to właśnie był wirtuozem w wypowiedaniu ich
i nikt absolutnie nie mógł nawet marzyć dorównać
mu w „zaginaniu dziesięciominutówek“, które jak
wiadomo są szczytem mistrzostwa w sztuce pojedyn-
ków słownych. Ze wszystkich tedy punktów widze-
nia oświadczenie kapita-
na było dziwne i niezrozu-
miałe.

Był to jednak dopiero początek późniejszych
jego dziwactw.

Gdy „Niobe“ zawinęła wreszcie do portu i porucz-
nik Mc. Lean jedyny towarzysz z messy *) kapita-
na Skalskiego, wróciwszy z lądu, zaczął opowiadać mu
o swoim pobycie w pewnym domu, którego żadną
miarą prywatnym nazwać nie można i o szatańskich
wdziękach jakiejś wampirycznej Loulou, kapitan
Skalski ni stąd ni zowąd oświadczył, że dużo więcej
podoba mu się mały domek z ogródkiem i jakaś ci-
cha w nim zgoła nie wampiryczna Małgorzata, czy
Kunegunda na której łonie można byłoby złożyć
swoją skolataną burzami życia głowę.

Porucznik Mc. Lean ciekawie nastawił ucha. Przy-

*) Messa — sala jadalna na statku.

puszczając, że kapitan Skalski, który i w tych sprawach uchodził za znawcę, ma na myśli jakiś wesoly „mały domek z ogródkiem“, począł wypytywać go o miejsce położenia w porcie tego domku i o zalety wdzięków Małgorzaty czy Kunegundy w nim urzędującej. Ale kapitan Skalski machnął tylko ręką i oświadczywszy, że porucznik go nie rozumie, sprowadził rozmowę na inny temat.

Porucznik Mc. Lean powiedział jednak o tem bosmanowi, bosman zaś oznajmił już całej załodze że „stary“ zna jakiś „mały domek z ogródkiem“, którego adresu powiedzieć nie chce.

Miało to ten skutek, że dnia następnego cała załoga przetrząsała miasto, szukając „małego domku z ogródkiem“, gdzie mieszka Małgorzata czy Kunegunda, która tak przypadła do gustu kapitanowi Skalskiemu.

Poszukiwania te jednak były bezowocne i marynarze doszli do przekonania, że zarówno „mały domek z ogródkiem“, jak i Małgorzata czy Kunegunda, istniały tylko w wyobraźni kapitana Skalskiego.

Nie zdążyła jeszcze wśród załogi przebrzmieć sława owego „domku z ogródkiem“, a już kapitan Skalski zdążył wypowiedzieć nowy dziwołag. Stwierdził mianowicie, że słowiki na łądzie muszą mieć głos

o wiele przyjemniejszy niż mewy morskie, które tylko kwilą, śpiewać natomiast jak słowiki nie potrafią wcale. Wobec tego powiedzenia wszyscy znaleźli się w kropce, nie mogli bowiem zrozumieć, w jaki sposób kapitan Skalski mógł stwierdzić przewagę wokalną słowików nad mewami, skoro nigdy w życiu śpiewu słowika nie słyszał. Urodził się on na morzu, na statku i później już nigdy morza nie porzucił, służąc z początku jako kuchcik w kambuzie, później jako chłopak od świateł okrętowych, jako marynarz, bosman, porucznik, aż oto teraz w pięćdziesiątym roku życia dosłużył się stopnia kapitana dalekiej żeglugi. W ciągu tych pięćdziesięciu lat życia Skalski ciągle był na morzu, ład znając tylko z zaułków, nor i szynków portowych, które jako żywo nie przypominają gajów, gdzie mogłyby przebywać cudnogłose słowiki. Skąd tedy wzięła się ta pewność kapitana w twierdzeniu, że słowik ma głos ładniejszy, niż mewa?

Nie zdążono jeszcze odpowiedzieć sobie na to pytanie, a już rozeszła się wieść o tem, że kapitan Skalski bezwzględnie przekłada towarzystwo szczurów lądowych nad kompanję zejmanów*), gdyż, zda-

*) Zejman — z angielskiego seeman (człowiek morski) w gwarze marynarzy oznacza wilka morskiego.

niem jego, ludzie lądu są bardziej kulturalni, subtelni, lepiej potrafią zrozumieć tęsknoty ludzkie i cierpienia, niż marynarze zatwardziali w ustawicznej brutalnej walce z równie brutalnym jak i oni żywiołem.

Jeszcze w ciągu dwóch lat od chwili stwierdzenia „obrzydliwości gęb“ ludu morskiego, kapitan Skalski głosił różne prawdy i nieprawdy, które dowieść miały przewagi dobrodziejstw życia lądowego nad życiem koczowniczym marynarza. W mowach tych przewijał się ciągle motyw „małego domku z ogródkiem“, który najwyraźniej stał się manją prześladowczą starego kapitana. Epilogiem tego stanu psychiki kapitana dalekiej żeglugi Skalskiego była wizyta u dyrektora towarzystwa okrętowego i prośba o dymisję. Zdziwiony dyrektor spytał o przyczyny. Okazało się, że kapitan Skalski jest sterany życiem i zmęczony służbą morską. Chce odpocząć. Od dziecka już pływa po morzach, od czterdziestu pięciu lat haruje, rąk nie pokładając, na różnych okrętach, zawijających do wszystkich portów świata całego. Zmęczony jest. Zmęczony fizycznie i moralnie. Rozszerzenie żył na nogach, którego się nabawił w młodości, wystając długie godziny służby na sterze, dokucza mu teraz nieznośnie i nie pozwala na zbyt długie przebywanie

na pokładzie, co jest często konieczne przy burzliwej pogodzie. Odniedawna poczuł też jakieś podejrzané łamanie w kościach, które uważa za początki reumatyzmu tak częstego wśród marynarzy w jego wieku. Łamania te zwiastują zbliżającą się starość i są sygnałem dającym znać, że już czas osiąść na lądzie i zacząć pędzić inny, bardziej odpowiadający jego latom tryb życia.

Właśnie te bóle w żyłach i łamanie kości są przyczyną tego, że jest zmęczony fizycznie. A moralnie? Mój Boże! Toż od urodzenia wałęsa się na statkach z jednego końca świata w drugi, od portu do portu, od szynku do szynku, żadnych innych przyjemności i innego życia nie znając. Zmęczyło go to życie. Znużył się ciągłą różnorością krajów, języków i ludzi, monotonią fal, rozległych płaszczyzn morza, ruchem rytmicznym statku, kołyszącym się stale. Bolały oczy od patrzenia w niezmierną dal, bolały uszy od słuchania ciągłych wichru poszumów. Zapraǳnął wreszcie życia osiadłego na lądzie. Zapraǳnął mieć jakiś swój własny kąt na ziemi, gdzieby mógł żyć spokojnie bez ustawicznych niepokojuw i trwóg, bez przenoszenia się z miejsca na miejsce, bez burz, mgieł, szkwałów i skał, których jest pełno na morzu.

Pochodzi z narodu rolników, uznającego tylko ży-

cie osiadłe. To też nic w tem niema dziwnego, że czterdzieści pięć lat życia koczowniczego nie potrafiły w nim zniszczyć tego narodowego instynktu tkwiącego we krwi.

Już mając lat trzydzieści zaczął marzyć o tem by na starość móc kupić sobie jakiś mały domek z ogródkiem w takiej odległości od morza, żeby nie było słycać ustawicznego pomruku fal. Marzył też, żeby zamieszkać w tym domku razem z kobietą, która byłaby nie tylko kochanką, ale i wierną towarzyszką schodzących dni życia. Z początku nie myślał o tem dużo. Zajmowały go podróże, kraje i ludzie, bawiły przygody, sztormy i awarje, którym ulegał. Domem był mu cały świat, a żoną każda spotkana kobieta. Teraz zestarzał się bardzo i zmęczył. Chce odpocząć. Znajdzie sobie mały domek z ogródkiem tak daleko od morza, żeby nie było słycać szumu fal i zamieszka w nim sam... albo... albo nawet z „towarzystką“!

W pobliżu Oliwy, kapitan Skalski łatwo znalazł i kupił za zebrane w ciągu długich lat pieniądze, mały, schludny domek otoczony ogródkiem. Zamieszkał w nim na stałe, od czasu do czasu tylko wyjeżdżając do Gdańska dla sprawunków, jak mówił sąsiadom, a właściwie w poszukiwaniu „towarzystki

życia“. O tę towarzyszkę, a zwłaszcza o taką jakiej chciał stary kapitan (młoda, ładna, dobra i gospodarna) było nieco trudniej, niż o domek z ogródkiem. Znalazła się jednak wkońcu i ona. W miastach portowych istnieje pewien odsetek młodych kobiet, rekrutujący się przeważnie z kelnerek kawiarni i szynków, nie zepsutych jeszcze do cna, których marzeniem i celem życia są związki małżeńskie ze starymi emerytami marynarki, przeważnie kapitanami, którym wprawdzie brak nadziei na długie lata życia, ale za to nie brak pieniędzy.

Taką właśnie poszukiwaczką starego męża była dwudziestoletnia Anna, ku której zwrócił swoje afekta kapitan Skalski. Ujrzał ją i poznał w jednej z kawiarni Nowego Portu, w której służyła jako kelnerka. Młoda i ładna, potulnością swoją i skromnym zachowaniem korzystnie odbijała się od krzykliwego tła rozwydrzonych i jawnie rozpustnych towarzyszek.

Kapitan Skalski odrazu ją wyróżnił z ich grona, a wyróżniwszy, jeszcze prędzej dał pozytywną odpowiedź na pytanie: ta, czy nie ta?

Czas umizgów trwał niezbyt długo, gdyż takie dziewczyny jak Anna wiedzą dobrze, że w tym względzie marynarze choćby i nie młodzi, hołdują zasa-

dzie „*Time is money*“ i widząc, że sprawa posuwa się naprzód nie tak szybko jakby oni tego sobie życzyli, zwracają płomień swych afektów w inną stronę. Anna tedy, nie dopuściła do tego, żeby „płomień“ odwrócił się w inną stronę, a wprost przeciwnie, postarawszy się rozniecić go do maksymalnych rozmiarów, wchłonęła w siebie szybko i chciwie. Po fakcie tym kapitan Skalski, jako gentleman-marynarz oświadczył się o rękę jej i został przyjęty.

Przyjęty został jednakże pod pewnym warunkiem, a mianowicie, nie krępowania w niczem jej swobody. Swobodę tę Anna rozumiała jako prawo wracania do małego domku z ogródkiem o każdej porze dnia i nocy, wychodzenia z niego również w porze, którą jej podyktuje fantazja danego ranka czy wieczora, oraz zachowanie dawnych znajomości i sympatyj z kawiarni.

Prawo swoje do stawiania podobnych warunków opierała Anna na twierdzeniu, że tylko niechcący uległa czarowi wspaniałej postaci starego żeglarza i że właściwie mówiąc wiekowi jej odpowiada bardziej młody mąż. Skoro się już jednak tak stało, że musi wyjść za grubo starszego od siebie człowieka, niechże przynajmniej ten starszy człowiek stara się

osłodzić jej życie i nie zabrania bawić się z młodszymi.

Kapitan Skalski przyjął ten warunek, ze swej strony zastrzegłszy, że Anna nie będzie go zdradzać.

— Anusiu kochana — mówił do narzeczonej stary wilk morski — nie zdradzaj mnie, poczekaj aż umrę, niewiele mnie już do tego brakuje. Po mojej śmierci będziesz się mogła kochać z kim chcesz, gdzie chcesz i jak chcesz. Czego oczy nie widzą, to serca nie boli. Po mojej śmierci rób sobie co chcesz, ale teraz gdybym dowiedział się, że mnie zdradzasz, byłbym bardzo nieszczęśliwy. No, co Anusiu, nie będziesz mnie zdradzać?

Na to otrzymał takie zapewnienia i zaklęcia wierności małżeńskiej, że aż wstyd mu się robiło swych pytań.

Zaraz po ślubie zamieszkali w małym domku z ogródkiem, niedaleko Oliwy.

Spokojnie popłynęło teraz życie kapitanowi Skalskiemu. Od rana do wieczora grzebał się w ziemi swojego ogródka, kopiąc, grabiąc i sadząc. O domek też dbał bardzo. Zasadził przy ścianach zewnętrznych dzikie wino, przed werandą kwiaty, które codziennie sam polewał, a z tyłu domku całe plantacje porzeczek. Wewnątrz jednak domek wyglądał je-

szcze piękniej niż zewnątrz. Przedewszystkiem uderzała tam przybysza nieprawdopodobna wprost czystość i porządek. Rzec można bez przesady, że każda rzecz, każdy przedmiot miał tam swoje ściśle co do milimetra oznaczone miejsce, z którego go ruszyć na inne nie było można. Wszystko też w domku tym lśniło i połyskiwało czystością. Porządek ten wypływał nie tyle z kawiarnianych nawyknień Anusi, co z czterdziestopięcioletniego przyzwyczajenia morskogo kapitana, który systematyczność i czystość gospodarki na okręcie przeniósł całkowicie do swego domku. Anusia, której ta surowa dyscyplina przedmiotów domowych niebardzo przypadła do gustu, nic wskórać w sensie uczynienia artystycznego nieładu nie mogła, gdyż lwią część doby spędzała poza domem w Gdańsku. Kapitan Skalski w pierwszych miodowych miesiącach sarkał w duchu na tę wietrzność i nadmierną ruchliwość żony, ale później, wspomniawszy swoje słowo i słowo Anusi, przestał się dąsać nawet w duchu. Przestał tembardziej, że jakieś inne bardziej ważne sprawy zaprzętnęły jego umysł. Zaczęło się z nim dziać coś szczególnego.

Anusia choć nigdy nie przebywała zbyt długo w małym domku z ogródkiem, zauważyła jednak,

że znikły gdzieś stare pamiątki morskie kapitana Skalskiego.

Najpierw więc zdjęty ręką kapitana ze ściany spoczął na dnie wielkiego kufra, stary zasłużony barometr, odróżniający się od innych barometrów tem, że tylko kapitan Skalski umiał go odczytywać, potem pamiątkowy log z zamarłą na jakiejś cyfrze wskazówką, która oznaczyła ilość mil najdłuższego rejsu starego marynarza, potem chronometr powędrował z kieszeni kamizelki w czeluście kufra, za chronometrem różne liny, linki, bloki, i bloczki, aż wkońcu kapitański mundur z czapką przykrył ten skład „morszczyzny“, sam z kolei przymknięty pokrywą.

Nietylko morskich, materjalnych przedmiotów pozbywał się kapitan Skalski. Usuwać począł od siebie nawet widoki, myśli i rozmowy, które miałyby coś wspólnego z morzem i jego na niem służbą. Zdawało się, że obraz z widokiem morza, książka o morzu, marynarz spotkany przypadkowo, nawet chmury na niebie układające się w fantastyczny kształt okrętu, napędzają nań wspomnienia jakieś, nad wyraz bolesne.

Szczególnie nie znosił kapitan Skalski słuchać opowiadań o morzu. Dziwnie to jakoś nie kojarzyło się z tem, że sam o niem rozprawiać lubił namiętnie.

Wyjeżdżał zaś w rozmowie z tym tematem jakoś szczególnie i, zdaniem osób postronnych, nawet głupio. Raz naprzykład podczas przechadzki z gośćmi Anusi po ogródku, gdy panie zachwycać się zaczęły cudnemi głosami słowików, które trelowały zawzięcie, kapitan Skalski zauważył ni w pięć ni w dziewięć, że mewy morskie „też“ kwilą czasami bardzo pięknie. Wywołało to zrozumiałe oburzenie całego towarzystwa, które urażone zostało słowami starego kapitana, dowodzącego gruboskórności jego w dziedzinie muzyki i śpiewu.

Innym znów razem zdziwił Anusię powiedzeniem, że łany zbóż kołysane wiatrem żywo mu przypominają powierzchnię morza falującą lekko w czasie sztilu *).

Dążąc do zupełnego odseparowania się od wszystkiego co miało jakąkolwiek styczność z morzem, kapitan Skalski pozrywał wszystkie swoje dawne znajomości z okresu służby morskiej.

To też szczególnie przykrą dlań była niespodziewana wizyta byłego towarzysza z messy, porucznika Mc. Leana.

Porucznik Mc. Lean porzucił służbę na pokładzie

*) Sztil — bezwietrze.

„Niobe“, urządziwszy się jako pilot przy kapitanacie portu gdańskiego.

Po pierwszej wizycie nastąpiła druga, trzecia i czwarta. Porucznik Mc. Lean wyraźnie zadomowił się u kapitana Skalskiego, ustawicznie burząc mu żółć opowiadaniem o tem, które statki, kiedy i jak zawięły lub odpłynęły z portu gdańskiego. Stary kapitan nie mógł wyprosić od siebie porucznika, był to bowiem jego dawny towarzysz i przyjaciel, wstydział się zaś wyjawić, dlaczego widok morskiego munduru jest tak przykry dla niego.

Przykre uczucie kapitana Skalskiego spowodowane odwiedzinami Mc. Leana wzrastało w miarę spostrzeżeń, że porucznik i Anusia zaczynają się darzyć wzajemnie sympatją i to nawet bardzo gorącą sympatją. Do Gdańska na zabawy jeździła teraz Anusia nie inaczej, jak tylko w towarzystwie porucznika i wracała też pod jego eskortą. Podczas wizyt w małym domku z ogródkiem Mc. Lean rzadziej już zatruwał życie Skalskiemu opowiadaniem o statkach w porcie gdańskim, większą część czasu spędzając na intymnych rozmowach z żoną kapitana. Ich słówka, półsłówka, spojrzenia i uściski rąk nie uchodzące uwagi starego kapitana doprowadzały go do pasji i czarnej melancholji. Zdawało się mu, że pożycie

małżeńskie z Anusią, a wraz z niem i mały domek z ogródkiem chwiać się zaczynają w swych fundamentach.

Obawy kapitana Skalskiego sprawdziły się w pół roku mniej więcej po pierwszej wizycie porucznika Mc. Leana.

Oto dnia któregoś, wróciwszy nieco wcześniej ze swej obowiązkowej, porannej przechadzki, zastał w domu Anusię i porucznika Mc. Leana w strojach i pozycjach, na które nie mogła pozwolić najgorętsza nawet sympatja. Wywiązała się przykra scena. Anusia wybuchnęła histerycznym płaczem, porucznik zasepił się, jak niebo przed sztormem, zaś kapitan Skalski w przystępie wściekłości lunął w nich doborem takich przekleństw i wyzwisk, że na Anusi jakkolwiek otrzaskanej z efektami lingwistycznymi gwary marynarskiej, aż skóra ścierpła ze strachu.

W pewnej chwili zdawało się, że kapitan Skalski rzuci się na przeciwnika i zmiażdży go w swych twardych dłoniach, ale stary marynarz zrobił tylko krok w stronę Mc. Leana i położywszy mu rękę na ramieniu rzekł:

— Pal cię diabli, poruczniku! Niepięknie to trochę z twej strony, żeś uwiódł żonę przyjacielowi, a zresztą... zresztą... Jabym na twojem miejscu po-

stąpił tak samo. Mąż stary, żona młoda, cóż się tu długo namyślać? Pal cię djabli, poruczniku! Ciężko mi jest na duszy, ale ostatecznie z punktu widzenia marynarza, urazy do ciebie czuć nie mogę. Pal cię djabli!

Mc. Lean czerwony jak burak i zdruzgotany moralnie tem oświadczeniem, złapał czapkę i wybiegł z pokoju.

Zostawszy sam na sam z żoną, kapitan Skalski zaczął jej robić wyrzuty, że złamała słowo i przysięgę, że zawiodła jego zaufanie, zniszczyła szczęście i radość małego domku z ogródkiem. Widząc jednak plecy Anusi wstrząsane łkaniem, machnął ręką i wyszedł z domu na cały dzień.

Wrócił późno wieczorem i odrazu na wstępie zaznaczył, że już nie ma do Anusi urazy.

— Ja jestem stary — mówił — Mc. Lean młody. Cóż tu się długo namyślać? Gdybym był kobietą, postąpiłbym na twojem miejscu tak samo. — Anusiu kochana — rzekł w końcu — musimy się rozstać. Dalsze życie razem byłoby męką i dla ciebie i dla mnie. Zostawię ci mój domek i ogródek, jako dar wdzięczności za te chwile szczęścia które z tobą przeżyłem. Mieszkaj sobie w nim z porucznikiem Mc. Leanem i bądźcie szczęśliwi. A ja.. ja wrócę na

morze, popływam sobie trochę. Woła mnie ono do siebie. Ciągnie. Byłem teraz nad morzem, chodziłem po brzegu. I wyobraź sobie zdawało mi się, że każda fala uderzająca o brzeg szmerze: wróć... wróć. Nie ma rady, trzeba wracać na morze, nie wytrzymam już na dłużej na lądzie. A ty bądź szczęśliwa z Mc. Leanem. Żegnaj!

Kapitan Skalski wrócił na morze i znów zaczął odbywać długie rejsy w kraje dalekie. Trwał jednak nadal w swym lądowym uporze i kupował sobie jeszcze dwukrotnie „mały domek z ogródkiem“. Zawsze jednak przedsięwzięcie kończyło się niefortunnie. Raz kupiwszy sobie domek posłyszał o wyprawie do Japonji, o której marzył od lat dziecińczych i sprzedał go czem prędej, objąwszy dowództwo okrętu, który wiozł wyprawę. Za drugim razem „łany zbóż kołysane wiatrem przypominały mu powierzchnię morza falującą lekko w czasie sztilu“ i kapitan Skalski znów porzucił ląd i wrócił na morze.

Pływa on teraz na pokładzie swej starej „Niobe“ i już nigdy nie myśli o „małym domku z ogródkiem“.

N O C G R O Z Y

Poważny głos dzwonów z lądu wybijających północ, zakłócił ciszę, która zapadła po oświadczeniu kapitana Gorskiego. Gdy przebrzmiało ostatnie, melodyjne westchnienie spiżu, Olivier, porucznik dalekiej żeglugi, wzruszył ramionami i spytał, zwracając się do Gorskiego:

— Cóż cię skłania do tego nierozsądnego kroku?

Kapitan Gorski milczał, wsłuchując się w chrobot ładowanego węgla w bunkrach stojącej niedaleko na kotwicach „Św. Marji“.

Olivier po raz drugi wzruszył ramionami i powiódł zdumionym wzrokiem po twarzach towarzyszy.

— Nie rozumiem — rzekł z przekonaniem i szczerze.

Pięciu ich siedziało przy stole kajutkampanji na „Filadelfji“, odbywającej stałe rejsy między portami Portugalji i Stanów Zjednoczonych. Pięciu dawnych towarzyszy z jednej szkoły morskiej, których okręty

spotkały się przypadkowo w porcie Ponta Del Gada na wyspie San Miguel. Migotliwe blaski lampy naftowej w kardanicznem zawieszeniu nad stołem, oświetlały pelgającymi smugami ich opalone, energiczne twarze i głowy, zaczynające już siwieć. Nie widzieli się ze sobą od lat kilku, a niektórzy już i od lat kilkunastu. Zupełnie wypadkowo spotkali się w tej małej kawiarence, która się znajduje tuż przy arkadach przystani portu Ponta Del Gada. Spotkali się, pogawędzili trochę i dla większej swobody zjechali się wkońcu szalupani na pokład „Filadelfji“, którą dowodził kapitan Gorski, najstarszy i najbardziej zasłużony z nich wszystkich.

W kajutkampanji „Filadelfji“ przy szklaneczkach rumu i fajkach rozmowa potoczyła się żwawiej i szczerzej. Każdy z nich miał dużo do opowiedzenia towarzyszom o życiu swem i przygodach w ciągu tych długich lat niewidzenia się.

Zabierali kolejno głos Kiryła, który z powodu zgubnego nałogu pijaństwa tkwił ciągle w stopniu porucznika małej żeglugi, Guilherme de Fari, zapalony gitarzysta i kochanek wszystkich kobiet świata całego, Mc. Tavich, marzący o własnym szkuńcu, kapitan Gorski z jego uporczywym pragnieniem wstąpienia do floty swej odrodzonej ojczyzny i wreszcie

najmłodszy Olivier, znany cynik, wypuszczony świeżo z więzienia angielskiego, gdzie siedział za uprawianie szmuglu bronią grecką barkantyną na wodach chińskich.

Zapadło właśnie milczenie po pierwszych słowach opowiadania kapitana Gorskiego.

Po Olivierze, który pierwszy przerwał ciszę, zabrał głos Mc. Tavich.

— Ja też tego nie mogę zrozumieć — odezwał się Anglik ironicznie skrzywiwszy usta — przecież do emerytury, *my dear captain Gorsky*, zostaje ci wszystkiego dwa lata. Czyż, naprawdę, flota twej bałtyckiej ojczyzny nie da sobie rady bez ciebie w ciągu czasu tak krótkiego? Jabym radził poczekać te dwa lata i wtedy dopiero ofiarować siebie w prezencie ojczystej banderze...

— Ja wcale nie z pobudek patryjotycznych porzucam służbę w Towarzystwie.... — rzekł kapitan Gorski, napęłniając szklanę rumem.

— Niestety, nie z pobudek patryjotycznych — dodał zamyślonym wzrokiem wybiegłszy poza czarny otwór iluminatora.

— *Tiens?! —* zdziwił się Olivier — więc to nie dwubarwna bandera wywabia ciebie z wód Atlantyku?

— Nie — krótko uciął Gorski — nie dwubarwna bandera.

— Możesz się rozpił na morzu z samotności? — zagadnął Kiryła z pożądlwym błyskiem oczu.

Wybuch śmiechu towarzyszy pogrzył pijaka na dno kompromitacji.

Gorski machnął ręką.

— Nie domyślcie się nigdy, to cała historja i do tego długa i dość żalosna historja — dodał, uśmiechając się gorzko.

— No, to opowiedz tę długą i żalosną historję — rzekł porucznik Guilherme de Faria — twoja kolej teraz, a pozatem w długich i żalosnych historjach zawsze musi być coś o miłości, a ten temat, jak wiesz, ogromnie mnie interesuje.

Wszyscy uśmiechnęli się znacząco spojrzawszy na Guilherma. Nawet Kiryła, otrząsnawszy się uczucia wstydu, uniósł czerwony nos z nad szklanki i, uśmiechnawszy się szeroko, oblał siedzących zapachem koniaku i rumu.

Kapitan Gorski wydobyl z kieszeni fajkę i zaczął nabijać tytuniem.

— Opowiem bardzo chętnie — rzekł po chwili — opowiem — muszę opowiedzieć, wogóle źłem zrobił, źłem milczał dawniej, gdybym pyskował o tem

wszystkiem, zawsze i wszędzie, możeby przestała mnie gniesć ta straszna zmosfera i nie stałoby się tak, jak się stanie...

Wszyscy poprawili się w fotelach i utkwili wzrok w kapitana.

Gorski zapalił fajkę i zaczął mówić:

— Pamiętacie wąsatego Januszka? Tego sympatycznego karciarza i hulakę? Pamiętacie na pewno. W szkole morskiej siadywał stale w pace za różne wykroczenia natury alkoholicznej. Otóż spotkałem go wypadkowo przed dwudziestu mniej więcej laty w jednym z podrzędniejszych portów Australji. Nie byłem wtedy nigdzie zaokrętowany i nie miałem pieniędzy, za wszelką cenę zaś musiałem się dostać na pagórki Hong-Konga, gdzie miałem przyobiecane miejsce porucznika na jakiejś chińskiej barce. Wąsaty Januszek dowiedziawszy się o mojem żalosnem położeniu zabrał mnie wraz z gratami na pokład „Perły“, połowem których szkuner ten jakoby się trudnił, w rzeczywistości uprawiając różnorodny szmugiel na szeroką skalę. Januszek był komendantem na tej rozbójniczej łajbie i miał wielkie pleni-potencje od swojego patrona Greka, typu z pod najciemniejszej gwiazdy całego planetarjum przestępczego. Mając, tedy carte blanche co do wytycznej swych

przemytnicznych kursów, mógł, wykrzywiwszy nieco nurt „Perły“, wysadzić mnie na Hong-Kongu, nie omieszkawszy przytem przeszmulgować tam coś nieco z niedozwolonych ładunków. Po obgadaniu tych wszystkich spraw załadowałem się na „Perłę“ i wyciągnąwszy kotwice odplynęliśmy od brzegów Australji. Już po kilku dniach żeglugi zauważyłem, że „Perła“ płynie niezupełnie tą loksodromą*), którą można się dostać na Hong-Kong. Zwróciłem na to uwagę Januszka. Januszek zapewnił mnie, że płynie na Hong-Kong, zaś to niewielkie odchylenie z kursu większego znaczenia dla żeglugi niema. Prosił jeszcze, żebym nie informował się u niego o pozycje „Perły“ w ciągu trwania rejsu, gdyż jest to tajemnicą przemytu. Przyrzekłszy raz jeszcze wysadzić mnie w możliwie najkrótszym czasie na Hong-Kongu, skończył rozmowę i więcej do tego tematu nie powracał. Rozmowa ta była pierwszym zwiastunem całego łańcucha wypadków i strasznych przeżyć, które mnie gnębią już od lat dwudziestu.

Zacząło się od tego, że pewnej ciemnej i burzliwej nocy, leżąc u siebie w kajucie na kojce usłyszałem charakterystyczny rumor żelaza w komorze łańcuchowej „Perły“. Wyglądało to tak, jakby zlu-

*) Loksodroma — łamana linja kursu, którym płynie okręt.

zowano hamulce brzoźpilu i łapy kotwic, wypadłszy z kluz, ugrzęzły w piasku dna. Zdziwiony niezmiernie i niedowierzając własnym uszom, wyskoczyłem z kojki i podbiegłem do iluminatora. Wpatrzyłem się w niespokojne tej nocy grzbiety grzywiastych fal. Tak, słuch mnie nie zawiódł — białe płyty pryskających pian przysuwały się i odsuwały od burty, nie dając jednak ku rufie. Narzuciłem na siebie płaszcz i po schodni wybiegłem na pokład. Żagle były zwinęte i chaos poplątanych lin świadczył, że zwinęto je dopiero przed chwilą. Obok brzoźpilu, na baku, zauważyłem grupkę ludzi majstrujących przy hamulcach, to rozwiało moje ostatnie wątpliwości — „Perła“, zarczuciwszy kotwice, huśtała się w miejscu, na środku wzburzonego oceanu. Pewność tego, jak domyślacie się, bynajmniej nie rozwiała mojego zdumienia, wprost przeciwnie, spotęgowała je stokrotnie.

— Po kiego licha potrzebne komu zarczucanie kotwic przy wielkiej fali na środku oceanu i do tego o setki mil od najbliższego skrawka ziemi?

Poszedłem na bak, gdzie widziałem zebranych ludzi załogi. Wśród nich ujrzałem Januszka. Siedział okrakiem na utlegarze bugszprytu i czegoś wypatrywał w ciemności.

— Hej! — zawołałem — wąsaty! Czy to już Hong-Kong?

— Nie — odpowiedział poważnie. — To jeszcze nie Hong-Kong.

— Toć widzę, że nie, a właściwie nic nie widzę!

— Źle patrzysz skoro nie widzisz, a zresztą ono i lepiej, że jesteś teraz ślepy — rzekł, złażąc z bugszprytu do siatki a z siatki na pokład.

— Służba kotwiczna, trapowy, szkafut, załoga szalupy, — raz, dwa, trzy, cztery — mówił Janusz wyciągając za rękawy z grupy marynarzy kolejno siedmiu drabów.

— Załoga szalupy w pogotowiu! — rzucił jeszcze i zeszedł z baku na środookręcie.

Zauważyłem, w migotliwym blasku światel pozycyjnych, że gęby drabów wyznaczonych do załogi szalupy wydłużyły się i posmutniały. Wbiłem wzrok w czerń nocy w tym kierunku, w którym przed chwilą patrzył Janusz. Wydało mi się w pewnym momencie, że czerń ta przybiera w głębi jakieś kształty, zarysy.

— Nie — pomyślałem — to niemożliwe — wiem na pewno, że w tej połaci oceanu niema żadnego lądu ani wysp — przywidziało mi się.

Udałem się na poszukiwanie Januszka, chcąc za-

żądać od niego wyjaśnień w sprawie tego tajemniczego zakotwiczenia się na środku oceanu.

Znalazłem go w komendanckiej rupce przy szklance i butelce konjaku stojących na stole.

— He? — rzekłem, siadając obok niego na fotelu i patrząc w jego czarne, szelmowskie oczki pod krzaczastymi brwiami.

Teraz jednak oczy jego nie miały swego zwykłego drwiącego wyrazu. Z aksamitnej czerni ich wyraźnie wyzierał niepokój, wzruszenie.

Januszek siedział pogrążony w milczeniu i nie odpowiadał na żadne pytania. Jednakże, gdy w butelce poziom konjaku zrównał się z dnem, Januszek przemówił.

Zaczął coś bredzić o wyspie jakiejś nieznanej, o pięknej kobiecie, o miłości, o pożądaniu, o niebezpieczeństwie wreszcie; trudno było coś wyrozumieć z tego półpijanego bełkotu czemś podenerwowanego do głębi człowieka.

Zaczynał mówić, przerywał, zacinał się, znów zaczynał od początku, aż wkońcu machnął ręką, otworzył szufladę stołu i wydobył z niego zwitek jakichś przeraźliwie zniszczonych szpargałów, zapisanych od góry do dołu. Położył tę plikę przede mną i rzekł:

— Czytaj! — sam z tego wszystko zrozumiesz najlepiej.

Od tamtej pamiętnej nocy dużo już lat upłynęło, a treść tych niesamowitych notatek po dziś dzień jeszcze dokładnie pamiętam. Coprawda, czytałem je później tak często i tak uważnie, że każdy wyraz wżarł się mocno i niezachwianie w mą pamięć. Na chwil kilka jeszcze przed śmiercią będę mógł powtórzyć dosłownie i bez błędu cały długi tekst tych dokumentów.

U samej góry pierwszego, najbardziej zniszczonego arkusza były wypisane wielkimi literami trzy: S.O.S., S.O.S., S.O.S. potem widniała data i podana dokładna długość i szerokość geograficzna.

Potem następowało: „Przybywaj i ratuj. Pierwej jednak dowiedz się mojej historii, byś wiedział kogo będziesz ratować. Historia moja jest niezwykle prosta w swych początkach, niesamowita w zakończeniu. A więc było nas troje: on, ona i ja. On — amerykańnik, bogacz, właściciel pięknego motorowego jachtu, ona — nieprawdopodobnej wprost urody meksykanka, żona jego, no i ja — ubogi kapitan małej żeglugi, komendant ich jachtu. Amerykanin i piękna meksykanka wzorowe, kochające się małżeństwo, zwracają na mnie tyle uwagi, ile tej uwagi

wymaga moje stanowisko płatnego komendanta ich jachtu — bardzo mało. Ja natomiast poświęcam im daleko więcej uwagi niż tego wymaga ich stanowisko patronów. Każdy ruch, każdy krok amerykańczy na statku śledzę uważnie, z nienawiścią, każdy uśmiech, każde słowo meksykanki łowię pilnie i z miłością. Krócej mówiąc, kocham do szaleństwa żonę mego patrona, zaś ani on ani ona nawet uwagi na to zwrócić nie raczą. Oto i cały niezwykle prosty wstęp do niezwykle dziwnej i strasznej historii. A teraz, jedynemu człowiekowi, któremu powierzam całą tajemnicę, zbierz całą swą siłę woli, by nie podrzeć ze wstrętem w strzępy tego dokumentu i czytaj go, mając ciągle na uwadze, że dużo jest na szerokim świecie zbrodniarzy większych i gorszych odemnie, którzy nie ponieśli i nie poniosą nawet setnej części tej kary, jaką ja odbywam teraz.

Gdy to piszę, mam lat zaledwie trzydzieści, a włosy moje są już białe zupełnie — w rodzinie mojej umierali, nie mając ani jednego siwego włosa na głowie, ja pierwszy sprzeniewierzyłem się tej rodzinnej tradycji. Ale nikt też z mojej rodziny nie przeżył i nie przeżywa tego co ja — posiwieliby tak samo.

Cienie palm wydłużają się, sięgają miotu fal, tar-

cza słoneczna jest czerwona, piaski przybierają kolor liljowy, niedługo wzejdzie księżyc, gwiazdy i będzie noc. Skądś z chaszczów drzew mimozy i krzewów dolatuje aż tutaj przenikliwy, złowrogi krzyk małej istotki — drżysz ty, który czytasz, ten krzyk brzmi dla ciebie. Czy wiesz co to jest miłość? Miłość to hymn pożądania nerwów istoty, która napotkała drugą istotę odpowiadającą jej swym typem pod każdym względem. Gdy dwie istoty tak pasują do siebie, jak dwie części rozłamanego pierścienia, wtedy nie jest to już miłość, wtedy jest — szaleństwo.

Czy wiesz co to zazdrość? Zazdrość to drugie szaleństwo, zdolne włożyć żelazo w dłoń syna, by szedł na ojca. Szaleństwo zwalnia winowajcę od winy i kary. Czemuż ja, podwójnie szalony, ponoszę karę? Nie jestem winien.

Przed pięciu laty jacht odbywał spacerowe rejsy między portami Australji i Indochin. Na pokładzie jachtu byliśmy wszyscy troje. Oni zwykle w swej sypialni, a ja na swym kapitańskim mostku. Zdarzało się często, gdy w nocy sprawdzając sternika, patrzyłem w różę kompasu... Zdarzało się wówczas, że wśród trójkątów rumbów i cyfr stopni, widział czarne, rozwarte, płomienne oczy, białe zęby ukazujące się wśród krwawych ust rozwartych w szalonym

śmiechu, drżące lękliwie piersi i cudne nerwowe, obnażone nogi broniące się lecz już słabnące... To miłość. Zdarzało się, że widział opalone, włochate ręce ciągnące się ku tym piersiom drżącym, zdarzało się, że widział twarz amerykańнина dławiącego lubieżnie wargami szalony śmiech tych krwawych rozwartych ust, zdarzało się że widział, jak cudne, nerwowe, obnażone nogi...

To zazdrość. Dwa wielkie szaleństwa złączyły się w jedno olbrzymie, zakręciły mnie w swym wirze potwornym i zepchnęły na dno otchłani zbrodni.

Była trzecia, ciemna noc strasznego sztormu, gdy w ponury huk grzmotów wmieszał się trzask masztów podciętych moją ręką i w oślepiającym świetle błyskawic, ujrzałem piękny jacht grażący się szybko w toni rozszalałych fal. Wówczas porwałem ją, jedyną uratowaną, w ramiona i powaliłem na dno miotanej nawałnicą szalupy. Widziałem czarne, rozwarte, przerażeniem płomienne oczy, czułem drżące lęklive piersi, walczyłem z cudnemi, nerwowemi nogami opierającemi się lecz już słabnącemi, czułem na gardle ostre, białe zęby broniącej się samicy, czułem te zęby wśród skrwawionych moją krwią ust rozwartych w szalonym, spazmatycznym płaczu. Straciłem przytomność z upływu krwi pluchającej

szeroką strugą z rany w gardle zadanej jej ostremi, białymi zębami. Uderzenia grzmotu wydawały mi się stuknięciami młotka wbijającego ćwieki w mą trumnę. Nie widziałem już i nie czułem nic. Czemu nie wyrzuciła mnie wtedy za burtę w rozszalałe fale? Zachłysnęła się może moją krwią i również zemdląła lub może poznała już wówczas, że jesteśmy dla siebie stworzeni, że jesteśmy, jak dwie połowy rozłamanego w środku pierścienia. Ocknąłem się z omdlenia wówczas, gdy kil naszej szalupy chrobotał jazgotliwie o piasek brzegu jakiejs małej wysepki.

Czy wiesz, co to zgroza?

Burzliwa, ciemna noc, przez otwór pieczary zagłąda w głąb skrawek nieba z księżycem przesłanianym co chwila strzępami chmur, łyśnięcia błyskawic, huk grzmotu, wycie wichru, szum drzew i plusk deszczu i wtem... śmiech, śmiech spazmatyczny, szalony, szatański i... i ostre białe zęby szarpiące bezbronną krtań... To zgroza.

Już od kilku lat w ciemne, burzliwe noce powtarza się zawsze to samo. Dlaczego? Czy mnie nie kocha? Nienawidzi? Nie. Jesteśmy dobrani. Pasujemy do siebie, jak dwie połowy rozłamanego pierścienia. Przebaczyła mi już dawno i kocha mnie tak mocno, jak przedtem nikogo. Na wyspie jest dobrze — kli-

mat zdrowy, południowe owoce, błękit nieba, lazury fal, ciepło, cudne palmy — raj. Nie ma powodów do nienawiści. Może zemsta? Mąż zaginiony? Głupstwo! Nie kochała go nigdy. Mnie kocha. No, więc?

A wiesz, co się może zdarzyć jeśli żołnierz czasu boju wśród chrzęstu łamanych kości, chlupotu krwi, jęków i zbuczonych posoką, zmasakrowanych potwornie ciał, sięgając bagnetem trzew wroga ma chęć myśleć o miłości?

Może się zdarzyć wtedy, że kochankę jego po nocy z nim spędzonej znajdą z łonem rozdartem uderzeniem bagnetu.

Wiesz, w tej chwili ostatniej, gdy człowiek jest nieco szalony i nerwy drżą pod naporem orkanu namiętności może się zdarzyć, że patrząc w oczy płomienne i wijące się w ogniu żądry białe ciało kochanki swej, ujrzy znagła pod sobą wroga, którego w bitwie przebijał bagnetem myśląc o niej. Następuje pomieszanie nastrojów i oto w chwili najwyższego napięcia uczuć miłosnych ręka obejmująca czule ukochany tors kobiety, wbija żelazo pod jej lewą pierś, tam gdzie niespokojnie tłucze się serce.

Może się zdarzyć, że nastąpi cios drugi i trzeci. Może się zdarzyć, że ciało kobiece zmieni się wkoń-

cu w bezkształtną masę mięsa, kości i krwi. Może się zdarzyć. Bywało to już nieraz.

Czy już mnie zrozumiałaś?

Jest obłąkana. Obłąkana od owej pierwszej burzliwej nocy w miotanej sztormem szalupie. Pomyśl tylko! Wśród szalonej burzy i czarnej nocy, rozjaśnianej tylko łyśnięciami błyskawic wrażliwa kobieta południowej rasy broniąc swej czci w ramionach napastnika wbija swe zęby w jego gardło i nie popuszcza śmiertelnego skurczu szczęk, aż do chwili ostatniej gdy ciało jego syte już pieczętów brutalnych wali się omdlałe z upływu krwi broczącej z krtani. Pomyśl tylko! Czy nie kojarzy się w obłąkanym umyśle jej miłość, zapach krwi i grzmot burzy?

Mam lat zaledwie trzydzieści, a jestem już siwy i ręce moje tak śmiesznie się trzęsą...

Strasznie jest żyć w odosobnieniu z człowiekiem szalonym. Zgroza, gdy tym człowiekiem jest własna ubóstwiana kochanka. Burzliwe są noce na tych szerokościach. I gdy z wieczora słyszę niespokojny pomruk fal, gdy widzę postrzępione zwały czarnych chmur lecące po niebie gdy czuję tchnienie wyjącej wichury — nie jestem nigdy pewien, czy zrana wstanę żywy z łoża miłości.

Ratuj! S.O.S., S.O.S., S.O.S., ratuj dusze nasze!

Podaję przybliżoną długość i szerokość geograficzną. Jest to pozycja jachtu na kilka minut przed zatonięciem. Mała, nieznaną wyspa, na której się znajdujemy, musi leżeć w pobliżu przecięcia tego południka i równoleżnika, które podaję.

S.O.S., S.O.S., S.O.S.

Dolatują mnie dźwięki gitary, którą zabrałem dla niej z pokładu tonącego jachtu. Przedziwnie i cudnie gra! Tajemnica. Tajemnica jest w tej melodji. Komu ona tak gra? Nie dla mnie! Dla małej istotki gra kołysankę. Córeczka jest z nami. Maleństwo zrodzone spaczoną krwawą miłością. Zrodzone z szaleństwa. Czy będzie kochała i łączyła pożądania i krew, miłość i śmierć tak samo jak matka? Drzę z trwogi. Boję się o to maleństwo, w którego oczętach już rozsiadł się — obłąd.

Cienie palm wydłużają się, sięgają miotu fal, tarcza słoneczna jest czerwona, piaski przybierają kolor liljowy, niedługo wszędzie księżyc, gwiazdy i będzie noc...

Z chaszczów drzew mimozy i krzewów dolatuje aż tutaj przenikliwy, złowrogi krzyk małej istotki — ten krzyk brzmi dla ciebie...

S.O.S., S.O.S., S.O.S.“

Na tych trzech wezwaniach ratunku kończył się

tekst poniszczonych szpargałów. Odsunąłem je od siebie i spojrzałem na Januszkę. Widocznie koniak działał nań uspokajająco, gdyż w czarnych oczach jego zlekka przymglonych oparami alkoholu nie było już niepokoju — malowała się tylko tęsknota i niecierpliwość. Gdy skończyłem czytać, odwrócił się ode mnie i, patrząc w czarny otwór drzwi prowadzących na pokład, rzekł:

— Żałuję teraz, że ci dałem do przeczytania ten papier...

— Spóźnione żale — odrzekłem — wytłumacz mi lepiej, w jaki sposób stałeś się posiadaczem tego paskudztwa?

— W niezwykle prosty sposób — wyłowilem z wody dnia pewnego zalakowaną butelkę, w której właśnie znajdowało się to „paskudztwo“.

— No i...

— Co „no i“? Widziałeś przecie trzy S.O.S.! Pośpieszyłem na ratunek i trafiłem na tę wyspę, o której mowa w papierach.

— Gdzież ona jest, ta tajemnicza wyspa?

— Właśnie stoimy na kotwicach o milę od brzegów tej „tajemniczej wyspy“.

— Hm.

— Właśnie.

— No i cóżeś tam znalazł na tej wyspie?

— Znalazłem „małą istotkę“, której „złowrogi krzyk“ brzmiał, niestety, nie dla kogo innego tylko właśnie — dla mnie.

— Ileż lat ma ta „mała istotka“?

— Teraz ma dwadzieścia, gdy ją po raz pierwszy ujrzałem, miała lat siedemnaście.

— A cóż rodzice? Ta para smętnych, lubieżnych warjatów?

— Leżą tam na piasku jakieś koście i dwie czaszki.

— Hm.

— Właśnie.

— Jakież stosunki łączą cię z „małą istotką“?

Janusz zadarł głowę do góry. W migotliwym świetle małej lampki naftowej ujrzałem na szyi jego straszliwe blizny i zrosty. Nerwy mam mocne, lecz przyznam wam się, że nieprzyjemnie mi się zrobiło, gdym to ujrzał. Wstałem z fotelu, podszedłem do Januszka i położywszy mu rękę na ramieniu rzekłem:

— Wąsaty! Cóż ty wyprawiasz do djabła! Po tych ranach przecie można nogi wyciągnąć na tamten świat!

— Dwa razy już byłem bliski śmierci.

— To po kiegoż licha się narażasz?

Janusz nic nie odpowiedział.

— He?

Milczenie.

— Kochasz ją czy co?

Wąsaty Januszek dźwignął się powoli z fotela.

— Dobranoc — rzekł — idź już spać, kamracie. Co chciałeś wiedzieć, to dowiedziałeś się, a do reszty nie wtrącaj się. Dobranoc. Idź już spać. Późno. Idź!

Wzruszyłem ramionami, uściśnałem mocno wyciągniętą dłoń wąsatego i wyszedłem z rupki na pokład. Wróciłem do kajuty, lecz spać już nie mogłem. W myślach trwała nieprzerwanie wizja tajemniczej wyspy. Gdy dzwon okrętowy podwójnem uderzeniem oznajmił pierwszą w nocy, usłyszałem szalupę odbijającą od trapu. Przez otwarty iluminator widać było szalupę odchodzącą po wzburzonych falach od burty w mrok nocy. Na rufie jej ujrzałem charakterystyczną kręłą sylwetkę wąsatego Januszka.

— Zwarjował chłop — pomyślałem sobie — któż to łąduje w taką burzliwą pogodę!

Zaczęło mnie już to poważnie niepokoić. O zaśnięciu w takim nastroju, w jakim znajdowałem się, nie było mowy. Ubrałem się znowu i wyszedłem na pokład. Szumiały fale za burtą, wył wiatr w takelunku, lecz już trochę słabiej. Na rano można się było spo-

dziewać lekkiego uspokojenia się burzy. Narazie jednak wokół było ciemno jak w mogile i pienne grzbiety olbrzymich rozchwianych grzywaczy następujących na statek wyglądały, jak długie korowody białych widm przychodzących z mroku i uchodzących w mrok. Co chwila jakiś potężniejszy bałwan z szumem złowrogim przewalał się przez pokład na moment pokrywając wszystko białym całunem piany. Wkońcu lunął deszcz, zajaśniały pierwsze błyskawice i w wycie wichury wmieszał się ponury huk grzmotu. Burza zamiast, jak przewidywałem, osłabnąć, wzmogła się jeszcze. Zaczęły jęczeć wiązania i szpanty, łańcuchy kotwiczne złowrogo jazgotały w kluzach. O godzinie drugiej w nocy wróciła z lądu szalupa. Tuż przy trapie omal nie została zdruzgotana falami o burtę. Załoga jej opowiadała, iż uważa za wyraźny cud Boski, że ich nie zalały fale w drodze powrotnej. Spytałem o Januszka. Odpowiedzieli, że komendant wyskoczył z szalupy na piasek plaży i poszedł zaroślami w głąb wyspy. Było tak ciemno, że w kilka sekund stracili go z oczu. Kazał przyjechać po siebie nazajutrz zrana. Nikogo z tych marynarzy nie dziwił postępek ich komendanta, gdyż, jak opowiedzieli mi zaraz, zawijają na tę wyspę przy każdym rejsie już od dwóch z górą lat. Dodali jeszcze,

że na ląd ma prawo wyjść tylko komendant i kulka w leb z jego ręki czeka tego, ktoby ośmielił się złamać ten zakaz. Marynarze odeszli do kubryku przebrać się w suche drelichy i na pokładzie prócz trapowego i służby kotwicznej zostałem sam jeden. Burza srożyła się coraz bardziej. Całe potoki deszczu wraz z bryzgami fal zlewały mnie całego od stóp do głów, wiatr targał połami nieprzemakalnego płaszcza. Nie czułem tego wszystkiego. Umysł miałem zaprzątnięty tą całą makabryczną historją, w którą niebacznie wplątał się Janusz. Z trwogą oczekiwałem ranka, by móc ujrzeć Januszka i wpłynąć nań w sensie zlikwidowania tego niezwykłego romansu. Nie chcę twierdzić, że już wtedy miałem złe przeczucia lecz ciemna noc, burza, błyskawice co chwila rozdzierające czerń nocy w połączeniu z przygniatającem wrażeniem, jakie wywarł na mnie przeczytany niedawno dokument, działały ujemnie na mój system nerwowy. Czułem jakiś nieokreślony strach nietylko o Januszka, lecz także, co najdziwniejsze, o siebie. Dla zabicia dłużącego się czasu przeglądałem dziennik okrętowy i jakieś na nim notatki porobione ręką Januszka. Wśród nich znalazłem dokładną długość i szerokość geograficzną wyspy przy brzegach której znajdowała się obecnie „Perła“. Miejsce to odszuka-

łem na mapie szczegółowej *), jak również pozycję podaną w dokumencie przez kapitana nieszczęsnego amerykańskiego jachtu. Punkty te niemal zlewały się w jeden. Awaria jachtu musiała, rzeczywiście, nastąpić tuż przy brzegach tej nieznaney, nieoznaczonej na żadnej mapie wysepki. Nie wiem dlaczego, a uważam to za zrzędzenie losu, zanotowałem sobie dokładnie w pamięci cyfry tego południka i równoleżnika. Po dziś dzień jeszcze przeklinam tę chwilę, w której wżarły mi się one w pamięć. Nadszedł wreszcie pochmurny, szary ranek. Burza zelżała nieco. W każdym bądź razie fale już nie przeskakiwały przez pokład i hamulce kotwiczne nie popuszczały, tak jak w nocy, co parę minut kilka ogniów łańcucha. W mętnej, trupim świetle wstającego, chmurnego dnia ujrzałem mgliste zarysy wyspy o milę od statku. Wyglądała, jak wysoka, skalista góra wynurzająca się z fal oceanu. Zbocza tej góry i podnóże pokryte były obfitą zielonością. Przez szkła lunety widać było wyraźne gęste, nieprzebite chaszczce krzewów i drzewa. Powierzchnia podstawy tej góry nie mogła wynosić więcej nad dziesięć kilometrów kwadratowych. Była to mała wysepka leżąca na połaci oceanu

*) Rodzaj mapy morskiej.

rzadko lub nigdy nie zwiedzanej przez statki. O godzinie dziewiątej zrana odbiła od trapu szalupa, kierując się do wyspy, by zabrać z niej komendanta. Z łatwo zrozumiałym niepokojem oczekiwałem jej powrotu. Po pięciu godzinach wróciła, ale z niczem — Januszka nie było. Nie było go i w drugiej szalupie, którą wysłałem wślad za pierwszą, nie było i w trzeciej, Ja sam, na czele sześciu ludzi załogi, przełamawszy ich opór, przeszukałem wzdłuż i wszerz małą lecz pełną skalnych rozpadlin i gąszczów krzewowych wysepkę. Nic. Absolutnie nic nie znaleźliśmy, co mogłoby nam dopomóc do odzyskania Januszka. Wogóle nic nie wskazywało nawet na to, że wyspa jest zamieszkana. Tylko na samym brzegu, na piasku, leżała kupa białych kości i dwie czaszki szerzyły zęby w potwornym uśmiechu. Jeszcze dzień i noc całą trwały bezowocne poszukiwania, aż wkońcu z rozpaczą w sercu po stracie przyjaciela machnąłem ręką i jako jedyny oficer objąwszy dowództwo „Perły“, odstawiłem ją do Australji do jej ojczystego portu. I tutaj los spletał mi znów złośliwego figla. Oto właściciel „Perły“, Grek — przemysłnik dowiedziawszy się o zaginięciu Januszka i dostrzegłszy, widać, w rysach moich coś zbrodniczego, zaproponował mi zająć miejsce Januszka i do-

wodząc „Perłą“, uprawiać to samo rzemiosło przemytnika, którem zajmował się Janusz.

Djabli podkusili mnie zgodzić się na tę propozycję. Moralność, jak wiecie, u nas, marynarzy, w młodym wieku jest rozciągliwa, zresztą płaca była dobra, a ja nie miałem ani posady, ani pieniędzy. Podpisałem kontrakt na rok i odrazu wyruszyłem na ocean. Kontrabanda szła nieźle i pobory moje od Greka-patrona zwiększały się stale. Wszystko szło jak najlepiej i nic absolutnie nie zapowiadało tragicznego końca mojej przemytniczej kariery. Aż oto dnia pewnego, uchodząc pościgu angielskiego krążownika, znalazłem się na wodach oceanu nie uczęszczanych nie tylko przez parowce i żaglowce rybackie, ale nawet przez pobratymcze przemytnicze i pirackie łajby. Była godzina trzecia w nocy, gdym stwierdził z całą pewnością, że stalowy anglik bezpowrotnie zgubił się w mroku. Nigdzie wokoło nie było widać jego świateł, ani słycać pomruku jego potężnych maszyn. Należało zaniechać dalszej ucieczki i zawrócić na uczęszczane szlaki. Dokonałem obserwacji *) i, zasiadłszy w rupce przy mapie, począłem oznaczać swoją pozycję. Wpisując do dziennika okrętowego

*) Mowa o obserwacjach astronomicznych.

długość i szerokość geograficzną pod którą w danej chwili znajdowała się „Perła“ poczułem, jak w węzowych skrętach poruszyła się sprężyna mojej pamięci. Cyfry stopni które notowała moja ręka w dzienniku okrętowym były już mi skądś dobrze znane. Po chwili już leżał przede mną dokument nieszczęśliwego kapitana amerykańskiego jachtu, który zachowałem przy papierach okrętowych „Perły“. Porównałem cyfry moich obliczeń z cyframi w dokumencie. Nie było żadnych wątpliwości — „Perła“ znajdowała się tuż przy brzegach tajemniczej wyspy. Los po raz drugi wprowadzał mnie na pokuszenie. Uległem. Pierwsze promienie słoneczne wstającego dnia padły na zwinięte żagle „Perły“ stojącej na kotwicach przy brzegach wyspy. Gdy kil mojej szalupy werznął się w piasek brzegu wyspy, los, który stale popychał mnie ku nieszczęściu, po raz pierwszy przestrzegł mnie przed niem.

Oto, gdy zrobiłem pierwszy krok od szalupy w głąb wyspy, ujrzałem na piasku znaną mi już dobrze kupę kości i obok dwóch czaszek — trzecią, której nie było uprzednio — czaszkę Januszka.

Wybielała tak samo, jak dwie pozostałe i patrząc na mnie czarnymi wydrążeniami oczodołów szczyrzyła zęby w jakimś strasznym, złowieszczym,

wszystkowiedzącym uśmiechu. Zamknąłem oczy na ten straszny widok i rozkazawszy sternikowi szalupy wrócić po mnie na drugi dzień zrana odszedłem w głąb wyspy. Nie będę wam opowiadał moich przygód w ciągu dnia, który straciłem na poszukiwaniach, opowiem tylko o najstraszniejszej nocy mojego życia. Gdy mrok otulił ciemnym płaszczem fale oceanu i księżyc oblał swym martwym blaskiem załomy skalne tajemniczej wyspy, siedziałem już we wnętrzu czarnej pieczary, którą zamieszkiwała złowroga istota. Od wejścia zarosłego dzikimi karłowatymi krzewami płynęły dziwne, zaiste tajemnicze dźwięki hawajskiej gitary i melodyjny, cudny głos melancholijnie powtarzał łamane słowa angielskiej miłosnej piosenki. Jak wyglądała? To opowiedzieć się nie da! Jej obnażone piersi, uda, stopy, tors były jednym, wspaniałym hymnem piękna, symfonią kształtów i barw. Bogini rozigranych blasków słonecznych w białośnieżnych pianach lazurowych fal mórz południowych! Jej czarne, ogniem płonące oczy były otchłanią, otchłanią piekielną, w którą zstąpiwszy raz, nie wydobywało się nigdy. Zupełnie naga z rozpuszczonemi koloru skrzydła kruka włosami, była nieskończenie piękna, fascynująca, złowroga! Struny gitary drgały namiętnie i mdlały rozkosznie pod do-

tknięciem jej dłoni. Grała. Grała naga zupełnie, półleżąc, zalana tajemniczym światłem miesiąca, rzucającem swe blade snopy czarownych promieni w mroczną otchłań pieczary.

Urzekła. Urzekła mnie swą cudną grą, głosem pięknym, melodyjnym, śpiewającym pieśń miłości, czarną otchłanią swych przepaścistych oczu, pełną złowrogich blasków szatana. O północy, gdy księżyc schował się za chmury, poznałem co to rozkosz najwyższa. Była jak cudna zjawia, najpiękniejszego snu haszyszu! Rozkosz granicząca z szaleństwem! Cudna! Bogini czaru i miłości!

Usnąłem wkońcu w jej ramionach znużony i zupełnie wyczerpany nerwowo. Zasnąłem mocno. Jeszcze nigdy w życiu chyba ani przedtem ni potem nie spałem tak mocno. I zwidział mi się sen...

Zdawało mi się oto, że leżę, jak w rzeczywistości, na matach obok cudnej wyspiarki. Dłoń jej gładzi pieśczośliwie me włosy, a cudne, krwawe, nerwowe usta całują łagodnie me oczy. Od ciała jej idzie ku mnie rozkoszny, o omdlenie przyprawiający żar, a pocałunki coraz częstsze i dłuższe naprowadzają słabość i senność...

Czuję we śnie, jak sen coraz mocniej skuwa me członki. Już zamykają się oczy pod dotknięciem ru-

binowych ust. Zасыpiam po raz drugi we śnie. Walczę jeszcze siłą ostatkiem z tą opanowującą mnie słabością, lecz czuję, że już ulegam i za chwilę nie będę nic wiedział i czuł... I wtedy zdało mi się, że od dalekiego brzegu wyspy, gdzie w piaskach wśród poszumów fal leży biała czaszka zmarłego Januszka, poczęła iść ku pieczarze mara, zjawą śmiertelną... Wąsaty Januszek stanął nademną. Nie zmienił się wcale, wyglądał tak samo, jakim go widziałem po raz ostatni. Czarne, szelmowskie oczki pod krzaczastymi brwiami patrzyły we mnie z uporem, uważnie...

— Cóż ty, bracie, wyprawiasz — rzekł z wyrzutem — przecież zasypiasz! Czyż nie czujesz?

Pochylił się nade mną i szepnął do ucha, musnąwszy mój policzek wąsami.

— Zbudź się! Zbudź prędzej, bo będzie źle!

— Nie mogę — jęknąłem głucho — jestem słaby. Ratuj, Januszk!

I wtedy stało się coś, co w tym śnie podwójnym przerażeniem zjeżyło mi włosy na głowie. Ujrzałem oto skrawek piaszczystego wybrzeża na którym leżały kości. Wokoło była czarna noc i szalała burza. Tumany piasku, gnane wicherą, skręcały się w potworne wiry i trąby. Nagłe łyśnięcie błyskawicy zaalało wszystko oślepiającym, niebieskim światłem

i w blasku tym zajarzyły się strasznie, jak okna piekielnego gmachu czarne oczodoły trupiej czaszki. Białe zęby błysnęły w szatańskim skurczu i wokół od czaszki potoczył się potworny grozą przejmujący grzmot śmiechu śmierci. Potem raz po raz zaczęły bić pioruny i błyskawice co chwila rozdzierały czarny kir nocy. I w tem niebieskiem, oślepiającym, tajemniczem świetle szatańsko śmiała się, szczerząc zęby, biała czaszka Januszka...

Obudziłem się, zlany zimnym potem. I tu po raz drugi tej nocy z przerażenia stanęły mi włosy dębem na głowie. Piers moją przytłaczał ciężar ogromny, ręce rozpostarte na krzyż, trzymały w stalowym uścisku czyjeś żelazne dłonie, tuż nad twarzą swoją ujrzałem złowrogie, piekielnym ogniem płonące źrenice. Na obnażonem gardle poczułem ostre zęby, wpijające się w krtań. Poczułem ciepłą krew spływającą na piersi. Koła czarne, zielone i czerwone zawirowały mi przed oczyma. Poczułem, że jeszcze chwil kilka tego śmiertelnego chwytu, a już nigdy nie podniosę się z mat i czwarta czaszka spocznie na piaszczystem wybrzeżu tej przeklętej wyspy. Ostatkiem nadwątlonych sił zerwałem się z maty i zrzuciłem z morę z swej piersi. Stałem, chwając się na środku pieczary, z rewolwerem w rękę

wyciągniętym z kieszeni. Szczęknał bezpiecznik. Zmierzyłem między jarzące się w mroku ślepią. Lecz w tej samej chwili, gdy miałem pociągnąć za cyn-giel nagle łyśnięcie błyskawicy burzy szalejącej na dworze rozjaśniło oślepiającym światłem ponure wnętrze pieczary. Ujrzałem ją. Stała naga w środku pieczary z falującą piersią i rozdętymi nozdrzami. Cudna! Obląkane, nieprzytomne oczy ciskały pioruny. Zgasło światło błyskawicy i znów zapadła ciemność i cisza przerywana szumem deszczu na zewnątrz. Wrzuciłem rewolwer do kieszeni i chwiejąc się wybiegłem w zarośla, rosnące obok groty. Do rana samego włóczyłem się, brocząc krwią, po brzegu wśród burzy i grzmotów wyczekując z utęsknieniem zbawczej szalupy. Wczesnym rankiem zabrano mnie nieomal umierającego na pokład „Perły“, która niebawem pozegłowała do swego ojczy-stego portu Australji. Po tym wypadku porzuciłem służbę na pokładzie „Perły“ i wstąpiłem do towa-rzystwa linii okrętowej New-York-Lisbona. Daleko są New-York i Lisbona od wybrzeży Australji, lecz od owej nocy nie było u mnie takiej, bym w snach go-rączkowych nie widział jej nagiej z falującą piersią i drgającymi nozdrzami o czarnych, pałających, nie-

przytomnych oczach, w których odbija się niebieskie światło błyskawicy!

Długo walczyłem i opierałem się, lecz już dłużej walczyć ze sobą nie mogę! Wabiące dźwięki hawajskiej gitary gonią mnie zawsze i wszędzie. Wracam na wody Australji.

Kapitan Gorski skończył, pociągnął potężny łyk rumu i zapalił zagasłą fajeczkę.

Zapadło milczenie, którego nie przerywał żaden z oficerów. Słysząc było wyraźnie chrobot węgla w bunkrach stojącej obok na kotwicach „Św. Marji“ i ostrożne mlaskanie Kiryły z upodobaniem chłepczącego swój rum.

Pierwszy przerwał milczenie Guilherme de Faria.

— Opowiedz teraz ty cokolwiek — zwrócił się do Oliviera — twoja kolej.

Porucznik dalekiej żeglugi Olivier uśmiechnął się drwiąco.

— Ustępuję narazie głos Kiryle — rzekł z wolna — niech coś opowie o stosunku w jakim pozostaje rum do awansów oficera marynarki. Ja zaś swoje opowiadanie odkładam na kilka lat. Być może spotkamy się jeszcze kiedy w jakim porcie i wtedy to opowiem wam tę samą historję kapitana Gorskiego tylko z zamianą na inne osób działających.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Mc. Tavich.

— To, że też porzucam służbę w towarzystwie i jadę razem z Gorskim do Australji.

— Poważnie mówisz? — spytał kapitan Gorski, puszczając z fajki kłęb dymu.

— Najzupełniej.

— Jak chcesz... — wycedził powoli kapitan, zamysłonym wzrokiem wybiegłszy poza czarny otwór iluminatora.

— Przecież dwóch was nie może być razem na wyspie — wymiamał płaczącym się językiem Kirylla.

— Nic nie rozumiesz, pijana pało — odpowiedział Olivier — ja nie wyląduję odrazu na wyspie, będę się jej tylko przyglądał zdaleka, podczas gdy Gorski będzie spoczywał w ramionach swej wampirzycy.

— Głupie zajęcie przyglądać się — zauważył Guilherme de Faria.

— Milcz „mendoliero“. Głupiś jak gitara — odciął się Olivier — przecież nie mogę się pchać razem z Gorskim do jednej kobiety. Poczekam, aż podrośnie ich córka.

— Jaka córka? — zdziwili się wszyscy.

Olivier machnął ręką.

— Eh, z wami rozprawiać! Głęboko jestem przekonany, że tam na wyspie chowa się już dorodna córeczka tu obecnego Gorskiego. Ona dla mnie. I gdy na piaszczystem wybrzeżu tajemniczej wyspy zabiła się w słońcu jeszcze dwie trupie czaszki, wtedy na mnie przyjdzie kolej i ja wyjdę na ląd i padnę w ramiona pięknej córki Gorskiego i tamtej wampirzycy — zakończył Olivier, znany cynik.

Poważny głos dzwonów z lądu oznajmił godzinę trzecią po północy. Towarzysze zaczęli się żegnać.

W S P O M N I E N I E

Bez wątpienia — jasne, księżycowe noce nie służyły porucznikowi Orskiemu. Zauważył to sternik jego wachty, Johnson, no i przedewszystkiem młodociany Bempo „św. Franciszkiem z Asyżu“ zwany. Przewisko to dał mu właśnie porucznik Orski z racji jego częstych, przymusowych wystawań na baku *) w czasie których Bempo nie mając do kogo gęby otworzyć, gadał ze sobą samym lub, jak twierdził Orski — „kazał do ryb“. Ustawiczne „kazania“ te były wynikiem długich, karnych wystawań na „oku“ **), które znowu były logicznym skutkiem wybujałych upodobań „św. Franciszka“ do snu podczas służby. Ostatniemi czasy, zresztą, „św. Franciszek“ już nie sypiał podczas swych karnych wacht i nawet nie „kazał do ryb“ — był całkowicie pochłonięty obserwowaniem dziwnego zachowania się porucznika Orskiego. Zaczęło się to od tego mniej więcej czasu, gdy „Gwiazda“ weszła w strefę beznadziej-

*) Bak — przód okrętu.

**) „Oko“ — służba obserwacyjna na przodzie okrętu.

nego sztilu ***) przy brzegach południowej Hiszpanji. Nastąpiły wówczas spokojne, gwiazdowe, księżycowe noce i znieruchomiały w absolutnej ciszy białe płachty żagielne poklaskiwały tak leniwie i cicho jakby strzepywały z siebie łagodnie blade, tajemnicze światło miesiąca na zasnuty długimi cieniami pokład. Już podczas pierwszej takiej nocy, gdy „Gwiazda“ znajdowała się na szerokości Kadyksu, porucznik Orski zachował się ze wszech miar dziwnie i niezrozumiale. Oto w chwilę po objęciu swej wachty (od 12 w nocy do 4) opuścił stanowisko oficera wachtowego na rufie i poszedł na bak. Bempo, który, pomruczawszy, swoim zwyczajem, krótkich chwil kilka, zdążył już zapaść na stojąco w głęboki sen, obudziwszy się, ujrzał z przerażeniem sylwetkę porucznika tuż obok siebie opartą plecami o windę kotwiczną.

— Wszyscy czarci głębinowi — pomyślał z głuchą rozpaczą „św. Franciszek“ — ratujcie mnie, bo ten demon czuwania znów wlepi kilka godzin karnej wachty Bożemu słudze Bempowi.

Ale porucznik Orski stał nieruchomo, zapatrzony w księżycową dal i, zdawało się, nie wiedział nawet o obecności wachtowego na „oku“. Tak minęło kilka

***) Sztil — bezwietrze.

minut. Bempo z pod daszka nasuniętej na czoło „bosmanki“ zaczął pilnie obserwować porucznika. Orski stał z opuszczoną na piersi głową i rękoma włożonemi głęboko w kieszenie spodni. Spojrzenie jego oczu wpatrzonych w widnokrąg miało wyraz głębokiej, ciężkiej zadumy. Bempo mógłby przysiąc, że oczy porucznika w chwili tej nic i nikogo nie widzą. Zdawało się, że spojrzenie ich zwrócone jest w tej chwili do wewnątrz czaszki, gdzie w mózgu powstaje gwałtownie jakaś potężna, ogromna wizja. Usta Orskiego rozwarły się lekko, a pierś poruszyła się kilka razy w ciężkim, niespokojnym oddechu, jakby przerażenie ścisnęło nagle jej żebra swemi lodowatemi szponami. Po długiej dopiero chwili porucznik uniósł głowę i, westchnąwszy głęboko, zbliżył się do światła pozycyjnego z bakburty. Stał chwilę, a potem zdecydowanym krokiem podszedłszy do bugszprytu, wlażł do siatki. Położył się na jej linach nad wodą plecami do góry i wzrok przenikliwy utopił w fale szmerzące łagodnie pod sztabą „Gwiazdy“.

— Nieprzytomny — pomyślał Bempo — lunatyk.

Porucznik, rzeczywiście, leżał w siatce tak długo aż Bempo, znużony ciągłym patrzeniem na niego, usnął w końcu po raz drugi, ukołysany szmerem fal

i łagodnym poklaskiwaniem kliwrów nad głową. Obudziło go silne uderzenie pięścią w usta i gniewny głos: Znów śpisz, nieczysty synu?! Mac twoją tak i inaczej i jeszcze raz między zęby.

Przestraszony Bempo ujrzał przed sobą czerwoną od gniewu twarz porucznika Orskiego.

— Ja ci dam spać podczas wachty — krzyczał porucznik wywijając pięścią przed nosem Bempa — do paki już teraz pójdziesz! Tam się wyśpisz, wielorybi pośladku!

Bempo przez chwil kilka usiłował wmówić w porucznika, że nie spał, tylko się zdrzemnął, ale zauważywszy, że to jeszcze bardziej rozwściecza porucznika i naraża jego — Bempa — na powtórne uderzenie w zęby — zamilkł i pokornie się zgodził na okrętowy areszt o głodzie.

— Nie, nie lunatyk — myślał Bempo, patrząc w ślad za schodzącym na jut *) porucznikiem i wymrukując pod nosem piętrowe przekleństwa pod jego adresem — nie lunatyk i całkiem przytomny, pieska jego morżowa, zatracona, zaułkowa, sprzedajna, pod siódme żebro i między oczy spróchniałym kłem rekina dziobnięta...

*) Jut — część pokładu.

„Wszyscy czarci głębinowi“, których tak często, a zawsze bezskutecznie wzywał Bempo na pomoc, nic nie pomogli i, jak mu to przyrzekł porucznik Orski, „św. Franciszek z Asyżu“ zasiadł w pace i już nie „kazał do ryb“, tylko do szczurów, które dokuczając mu i w dzień i w nocy zwiększały tylko w jego sercu zawziętość przeciwko Orskiemu.

Siedząc w pace Bempo nie mógł obserwować zwiększającego się ciągle zdenerwowania porucznika Orskiego, które wzrastało z dnia na dzień w miarę zbliżania się „Gwiazdy“ do trawersu Gibraltaru. Wypuszczony nareszcie na rozkaz komendanta z ciemnej paki, widział już Orskiego bardzo krótko; był natomiast świadkiem tego, co napełniło jego duszę niezmierną radością i pozwoliło sypiać bezpiecznie, ile wlaźło, zawsze i wszędzie, bowiem porucznik Hastings był na podobne sprawy niezmiernie wyrozumiały.

.

Tołba...

Błede smugi światła miesiąca lały się przez otwarty iluminator kajuty i kładły się mętnymi plamami na podłodze i ścianach. Mosiężny zegar nad stołem tykał rytmicznie, tykanie swe mieszając z szmerem

wody za burtą. Od czasu do czasu poskrzypywały zlekka wiązania.

Tolba...

Porucznik Orski siedział na brzegu kojki, twarz ukrywszy w dłoniach. Już długo tak trwał bez ruchu. Zrzadka tylko wargi jego drgały i wtedy w mrocznej kajucie rozlegał się szept:

— Tolba...

Od czasu, gdy „Gwiazda“ minęła trawers Gibraltaru, Orski wszedł w ostateczną fazę zdenerwowania i rozdrażnienia. Cały swój wolny od służby czas spędzał zamknięty w kajucie rozprawiając tam z kimś niewidzialnym, coś mrużąc i jęcząc.

— Tolba...

— Światła się paląaaaa!

Z baku, przez nawiewnik spłynął do kajuty śpiewny głos wachtowego na „oku“.

— All right!! — zabrzmiała na pokładzie, tuż nad głową Orskiego odpowiedź porucznika Hastingsa.

Dwu głos ten otrzeźwił go trochę. Ociężale dźwignął się z kojki i podszedł do iluminatora. Podbródek oparł o krawędź. Przymglony zadumą wzrok porucznika legł ciężko, uparcie na mieniących się złotem w świetle księżyca falach oceanu.

— Na tych samych wodach... Akurat osiem lat temu... I w taką samą jasną, księżycową noc... — szepnął Orski.

— Tołba! — zawołał cichutko w kierunku szumiących fal.

Stał nieruchomo jakby oczekując odpowiedzi. Później ukrył twarz w dłoniach i pograżył się w ciężką, posępną zadumę.

Wspomnienia...

Naleciały nań wichrem z nad tych wyzłoconych księżycem fal oceanu. Otoczyły tłumem postaci i korowodem zdarzeń z lat dawnych. Wytrąciły umysł z poczucia rzeczywistości i cofnęły jaźń o kilka lat wstecz.

Orski znów poczuł się uczniem szkoły morskiej. Ujrzał siebie w białej bluzie i granatowych „kloszach“ na nogach.

...Jasny, słoneczny dzień.

Na wielkiem, kamiennem molu tłoczą się grupki postaci w białych bluzach i granatowych kloszach — świeżo przyjęci do szkoły morskiej uczniowie. Zrzadka wśród tego tłumu mignie granatowy mundur ze złotem starszego ucznia. Zrzadka z ust tych przełożonych nad kolegami padnie rozkaz, drwina, obelga...

Nowowstępujący z ciekawością i trwogą patrzą

w dal, na redę, gdzie na kotwicach stoi biały, szkolny bark, który za dni kilka wyruszy z nimi na pokładzie w długą, daleką podróż.

Ciekawość, wzruszenie, lekki strach nawet...

Niski, pękaty holownik przybija do wysokiego mola. Z ust granatowo-złotych zejmanów dozoru-
jących kolegów pada komenda: Załadowywać się, mamine synki!

Poruszył się niespokojnie, nerwowo tłumek białych bluz i wślad za zrzucanymi manatkami, z mola na pokład holownika zaczęły skakać niezdarne, często dziecinne jeszcze postacie „maminych synków“. Orski miał wielki i mocno ubity wór z rzeczami. Skinął na kolegę, by ten pomógł mu zrzucić go na dół. We dwóch ujęli wór krzepko za rogi i huśtając nim nadawali rozpędu, by rzucony wkońcu, padł na środek pokładu holownika. Zdarzyło się tak, że kolega za wcześniej puścił swe rogi i ciężki worek w rozpędzie upadku pociągnął Orskiego za sobą. Orski runął na twarz z wysokiego mola na pokład, rozbijając w krew nos i usta. Okrzyki przerażenia „maminych synków“ zmieszały się ze zgodnym grzmotem śmiechu granatowo-złotych mundurów. Do powstającego z pokładu Orskiego podszedł dozoru-
jący starszy uczeń, wielki drab z potężnym już,

czarnym zarostem na policzkach i brodzie. Spojrzał z niewymowną pogardą i nienawiścią na zlaną krwią twarz młodszego.

— Niezdara — wycodził wolno przez zęby. — I ty chcesz być marynarzem? Uuuuu... Szczeniak... Pieska twoja, niebieska, blada, groszowa, w ciemnym zaułku palcem garbatego żyda w plugawe ucho dziobana...

— Tołba! Tołba! Daj spokój! — rozległy się niechętnie okrzyki towarzyszków brodacza. — Cóż się to tak do jednego przyczepił? Idź już innych opieprzaj! Daj mu spokój!

Brodacz odszedł, rzuciwszy jeszcze w stronę Orskiego pełne złości spojrzenie. Od dnia tego wykwitła potężna nienawiść pomiędzy Orskim i „Tołbą“. Rozpoczęła się walka. W walce tej, jako starszy uczeń mocarzem był Tołba, bezsilnym — świeżo upieczony marynarz Orski. W życiu często się zdarza, że przełożony od pierwszego rzutu oka nie upodobawszy sobie podwładnego zaczyna go nienawidzić. W parze z nienawiścią idą szykany i znęcania się do których tysiące okazji następuje służba marynarza na pokładzie okrętu. Na nieszczęście dla siebie Orski wyznaczony został do wachty, w której służbę bosmańską pełnił ponury brodaty Tołba.

Zgorzkniały, rozbity duchowo przejściami burzliwej młodości, sierota bez bliskich i przyjaciół, był Tolba nielubiany przez podwładnych i pogardzany przez kolegów własnego kursu. W młodości swej krzywdzony przez wszystkich i jak mówiono, bity po gębie przez każdego, kto się nie lenił, Tolba, dorwawszy się nareszcie do małego zakresu władzy, odbijał sobie na młodszych kolegach poniżenia lat dawnych. Specjalnie Orski stał się dlań baranem odkupienia. Na służbie i poza służbą i w dzień i w nocy umysł Tolby zajęty był ustawicznie wynajdywaniem najcięższej i najpaskudniejszej roboty jaką tylko można było wynaleźć na statku. Robotę tę Tolba z nastaniem wachty rozkazywał wykonać Orskiemu. Ciężkie życie prowadzi każdy świeżo upieczony marynarz na pokładzie szkolnego okrętu, jednakże przy dobrej woli starszych kolegów — mentorów, oraz przy odrobinie dekownictwa *) życie to może być znośne, nawet przyjemne. Biada jednak temu młoczakowi, na którego zagiał parol starszy kolega. Niczem jest wtedy gniew komendanta, a nawet niełaska kucharza w porównaniu ze skutkami takiego „przyfaldalenia się“ starszego kolegi. Życie młoczaka

*) Dekować się — w gwarze okrętowej znaczy tyle co zręcznie unikać pracy.

staje się wtedy podczas długiej i zwykle uciążliwej podróży istną męczarnią. Taki właśnie los spotkał Orskiego.

Z początku młody marynarz pogodnie i z uśmiechem znosił wszelkie szykany i drwiny Tolby, później jednakże zaczął protestować, a nawet buntować się. Czynny opór Orskiego znalazł swój epilog w pacy, dokąd go zamknięto za naruszenie dyscypliny okrętowej. Karę tę wrażliwy, ambitny chłopak odczuł boleśnie. Po wyjściu z paki, przyciśnięty jeszcze silniej represjami i obelżywym traktowaniem przez Tolbę, Orski spochmurniał i zamknął się w sobie. Rejs dopiero się rozpoczął, szkolny bark w swej podróży na południe mijał dopiero brzegi Anglii, Orski tedy miał w perspektywie jeszcze długie miesiące katowań i znęcań się ponurego brodacza. Z początku posmutniał, zatęsknił za domem, w nocy gdy nikt nie widział zraszał łzami płótno hamaku, później wszelako pod wpływem twardej służby i ciągłych poniżeń nienawiść głucha i zawziętość wezbrała w sercu młodego marynarza. Pewnej ciemnej, burzliwej nocy gdy miał służbę „oka“ na przodzie okrętu, w wyniku długich, ciężkich rozmyślań, zapadła decyzja — trzeba z tem skończyć. I oto po pewnym czasie nastąpiła druga, tym razem już jasna, księżycy-

wa, południowa noc. Szkolny bark minąwszy brzegi Hiszpanji, zbliżał się do trawersu Gibraltaru. Orski znów miał służbę „oka“ na baku. Załoga spała w międzypokładzie, służbowa wachta też, wykorzystując spokojną pogodę, drzemała gdzieś pod brezentem na grota luku. Na pokładzie, ani na baku nikogo widać nie było. Pustka zalegała białe deski pokładu. Myśl pewna poruszyła się w głowie Orskiego.

— ...Żeby teraz... tu — pomyślał, patrząc uparcie na fale lśniące w poświacie księżyca.

Podwójne uderzenie w dzwon oznajmiło godzinę pierwszą po północy.

Orski rzucił przelotne spojrzenie na zielony i czerwony odblask światel pozycyjnych.

— Światła się paląaaaaaaa! — cisnął śpiewny okrzyk w kierunku rufy.

— Dobraaa! — po długiej chwili doleciał go stamtąd zaspany głos porucznika.

— Posnęli wszyscy — pomyślał Orski. Pochylił głowę na piersi i znów ta sama myśl uporczywa zaczęła się powtarzać coraz częściej i coraz silniej absorbować na sobie świadomość.

— ...Żeby teraz... tu... zaraz... śpią...

Po kilku minutach rozmyślań myśl ta zajęła plan

pierwszy, poczęła dominować i wkońcu skupiła na sobie całą uwagę, wolę i naprężenie nerwów. Raptem drgnął. Tołba stał obok. Wola osłabła, naprężenie nerwów zmałało, myśl zbladła. W obliczu czynu stał bezradny.

— Spisz, sobaczy synu? — zagadnął Tołba.

— Nie śpię, panie bosmanie!

Znów myśl, znów skrzep woli i naprężenia nerwów.

— Co łzesz, widziałem przecie! Jutro cztery godziny karnego steru.

— Nie spałem, panie bosmanie!

— Milczeć! Jutro cztery godziny karnego steru!

— Tak, panie bosmanie.

Nienawiść. Głucha, ciężka, beznadziejna.

— Światła napewno pogasły.

— Palą się, panie bosmanie.

— Łzesz! Pojutrze cztery godziny karnego steru!

— Światła się palą, panie bosmanie — widać odbłask na burcie!

— Milcz! To księżyc.

— Odblask jest zielony po sterburcie, czerwony po bakburcie, panie bosmanie.

— Milcz!

— Pan bosman może zresztą sprawdzić, proszę

podejść do burty, przechylić się i zajrzeć w latarnie — palą się.

Tołba odwrócił się plecami i poszedł do burty. Decyzja. Jak kot na palcach Orski podążył za nim. Mijając zbiornik ze słodką wodą pocichu zdjął ze śruby ciężki, żelazny klucz do zakręcania kranu. Stał za Tołbą. Tamten przechylił się całym ciałem nad wodą chcąc zajrzeć w latarnię. Druga decyzja. Zaparty oddech. Przyspieszone bicie serca. Protest nerwów. Wahanie. Ciężka, gęsta mgła w przyćmionej świadomości i trzecia niedostrzegalna dla uwagi nieodparta decyzja. Ciężkie, bolesne westchnienie, jęk żaloszny, zgrzyt zębów — opór zniweczony. Cios. Trzask przełamanej czaszki i głuchy plusk za burtą. Cisza. Orski w kuczki przysiadł na pokładzie. Rzęził. Ręce mu drżały, w uszach łomotały puls. Fooj... foooj... foj... — co chwil parę wyrzucał ciężkie westchnienie z płuc. Wzrok błędny, nieprzytomny wparł w jakiś ciemny ślad po sęku w desce pokładu. Dłońmi ocierał zimny pot z czoła. Dopiero po kilku minutach oprzytomniał. Usiłował zebrać myśli, wziąć je w karby i skierować na drogę rozsądku. Opanował się wkońcu. Zaczął liczyć. Odliczył cztery minuty i zaprzestał — nie mógł już dłużej.

— Już — znikł pewnie — pomyślał.

Wstał z kuczek, podszedł do burty. Spojrzał wtył statku. Nic. Księżyc tylko kładzie na falach swój tajemniczy, zimny, martwy blask. Otworzył usta. Charczenie jakieś dobyło się z gardła. Nie mógł krzyknąć. Zebrał całą siłę woli. Opanował się. Znów walka o decyzję. Ciężki, przerywany oddech. Nagłe poruszenie woli. Krzyk straszny, upiorny, śmiertelny: Człowiek za burta!

Wysłane szalupy nie znalazły w falach ciała Tolby.

Według przypuszczeń Orskiego, wypowiedzianych do komendanta, samobójca, skacząc z baku wdół, uderzył głową o łapę kotwicy wystającej z kluzy i już martwy wpadłszy do wody ze strzaskaną czaszką, odrazu zatonął. Komendant zgodził się z tem przypuszczeniem. Zresztą innego tłumaczenia gwałtownego zatonięcia Tolby i być nie mogło. Nocy tej biały, szkolny bark minął trawers Gibraltaru.

Od tego czasu minęło wiele lat, Orski ukończył szkołę morską i oto po raz pierwszy statek na którym jest on oficerem wachtowym rozpienia sztabą te wody w których tragiczną śmiercią zginął Tolba.

...Taka sama noc księżycowa...

Orski wstrząsa gwałtownie głową i odchodzi od

iluminatora. Patrzy na zegarek. W tejże samej chwili rozlega się klank — za piętnaście minut dwunasta. Orski bierze czapkę i wychodzi na pokład. Księżyc wciąż leje swój czarowny blask na pokład, na białe żagle i lśniące fale oceanu. Orski schyla się i przez grota luk wzywa gwizdkiem z międzypokładu swoją wachtę na górę. Dwie wachty — wstępująca i schodząca stoją naprzeciw siebie. Orski zbliża się do Hastingsa.

— Kurs?

— Sto siedemdziesiąt siedem. *)

— Wiatr?

— Baksztag, **) a wogóle prawie sztil.

— Żagle wszystkie na masztach. Pozatem nic nowego. *Good bye...*

Porucznik Hastings ziewnął i odszedł. Wachta była zdana. Cztery podwójne uderzenia w dzwon wybiły dwunastą. Orski objął służbę.

— Ty — na ster! — Orski wyciągnął z szeregu jednego marynarza, — ty — szkafut, Bempo — na „oko“.

*) Kierunek kompasowy.

**) Baksztag — kierunek wiatru w stosunku do kierunku żeglugi statku.

Przytłumiony śmiech rozległ się w gromadzie marynarzy — biedny „św. Franciszek“ znów obejmował swą znenawidzoną służbę na „oku“.

Oddalając się, mruzczał ze złością.

— A nie spać mi tam, kaznodziejo! — krzyknął mu Orski wśląd.

Rozpuściwszy wachtę, Orski poszedł na rufę i w rupce komendanta, usiadłszy w fotelu, pogrążył się znów w rozmyślaniach. Po ciężkich przejściach duchowych ubiegłych dni opadło go znużenie. Jedne i te same natarczywe myśli nie opuszczały go jednak. W miarę wzrostu znużenia i senności przybierały nawet na sile i jaskrawości. W formie wizyj przełatywały i stawały w umyśle. Niektóre obrazy miały moc halunacyj. Orski ujął głowę w dłonie, a łokcie oparł na kolanach. Począł kiwać głowę w lewo i w prawo, jak człowiek wyczerpany docna długotrwałem cierpieniem. Jęczał głucho, przeciągle, zaciskając oczy jakby natrętnym wizjom chciał zamknąć dostęp do mózgu. Jęk stawał się coraz bardziej głuchy, cichy, przeciągły, ruch głowy kiwającej się z jednego ramienia na drugie był idealnie równy, spokojny, rytmiczny. Przez wpółotwarte usta spokojnie wpływało i wypływało powietrze oddechu. Myśli znikły. Zastąpiły je jaskrawe, dziwacz-

ne, nielogiczne w swej konstrukcji i kolorycie obrazy.

— Cóż to ja śpię, czy co? — wysiłkiem woli wywołał Orski myśl ostatnią — wara! Nie wolno spać.

Chciał unieść głowę z nad kolan i nie mógł. Lecz oto szmer pewien przyszedł mu z pomocą. Szmer wody spadającej kroplami skądś z góry na deski pokładu. Orski nastawił ucha. Najwyraźniej krople padały i rozpryskiwały się tuż, tuż koło jego głowy. Gdy uświadomił to sobie, ujrzał je znagła. Padały z prawej strony jego fotela i utworzyły już sporą kałużę.

— Skąd to tak leje? — pomyślał, lecz nie uniósł głowy żeby sprawdzić.

Nagle wstrząs. Jak za dotknięciem tajemniczego prądu Orski drgnął i usiadł prosto w fotelu.

Tołba!

Stał obok. Olbrzymi, blady, o wzroku przymglonym. Mundur jego ociekał wodą, a z wielkiej, czarnej, splątanej brody zwisały wodorosty i kraby. Ręce miał sine, nabrzmiałe. Trup.

Orski wzrok oszalały wbił w śmiertelną maskę upiора. Chciał krzyknąć — głos uwiązł w gardle. Chciał uciec — poczuł że jest przykuty do swego

fotelu. Patrzył tedy błagalnie w kamienne źrenice widma.

— Nie bój się, nie drzyj... — rzekł Tołba.

Dotknął się ręką tyłu czaszki i ciężko zrobiwszy krok w stronę, siadł na drewnianej kanapce.

Zaskrzypiały deski pod ciężarem topielca.

— Skąd ty? — głuchym, nieswoim głosem spytał Orski.

— Stamtąd... — mokra, sina ręka przez drzwi rupki wskazała fale oceanu.

Orski opanował się znagła. Ruchem zdecydowanym i pewnym wstał z fotela. Ręce założył w kieszenie. Wzrokiem szyderczym chlasnął w twarz widma.

— Cóż Tołba? — wycedził przez zęby. — Nie żyjesz?

Milczał topielec. Cicho stukwały o podłogę krople wody spływające z munduru i z czarnej wody.

— Cóż milczysz, bosmanie? Oficer pyta!

— Mnie mówić ciężko — krew mózg zalewa.

Upiór dotknął ręką tyłu czaszki i odjął ją skrważoną. Dopiero teraz Orski zauważył olbrzymią, krwawiącą ranę w czaszce Tołby. Krew z niej mieszając się z wodą spływała na kark i na barki.

— Skąd masz tę ranę? — spytał Orski.

— Padając do wody rozbiłem głowę o łapę kotwicy...

— No, nie łyj trupie — to ja ci łeb rozwalilem kluczem od zbiornika.

Topielec potrząsnął skrwawioną głową.

— Nie, to o łapę kotwicy — ja sam.

— Łżesz, mówię!

Milczało widmo. Woda wciąż spływała z jego munduru i brody tworząc kałuże na podłodze rupki.

Orski przeciągnął się w ramionach i ziewnął.

— Ale nudnyś się zrobił, bracie, w tej wodzie, niech cię!

— Na dnie niewesoło! — odparł topielec.

— Toż to po tobie widać, nudziarzu. Powiadaj, czego chcesz?

— Chcę ciebie.

Orski parsknął śmiechem.

— Mózgi-s sobie zamoczył, brodaczu! Co paplesz głupstwa! Ty trup, a ja żywy — czegoż więc chcesz odemnie?

— Chcę ciebie.

Orski zmarszczył brwi.

— Nie mam czasu na głupstwa, gadaj pociś wy-lazł z wody!

— Przyszedłem zabrać cię ze sobą.

— POCO?

— Trzeba.

— To ty tak chcesz?

— Nie, nie ja.

— A kto?

Milczało widmo, kamiennymi oczyma patrząc w twarz Orskiego.

— I cóż zabierzesz mnie ze sobą?

— Zabiorę.

Orski znów wybuchnął śmiechem.

— A jak ja nie pójdę za tobą?

— Pójdziesz.

— Łziesz.

Cisza. Zlekka skrzypnęły deski kanapy. Topielec dźwignął się z niej i stanął na nogi. Zrobił krok ku drzwiom.

— Gdzie idziesz?

— Już tam, do siebie...

— Którędy zejdziesz?

— Tak samo jak wtedy — z baku.

Orski roześmiał się.

— Aha! Przypomniało ci się! Pójdę z tobą zobaczyć czy będzie to wyglądało tak samo, jak wtedy. Wal przodem!

Tołba szedł przodem. Za nim krok w krok skra-

dał się Orski. Tak samo jak wtedy — przed laty. Po schodkach weszli na bak. Cicho, jak księżycowa zjawia, topielec się zsunął z pokładu do wody. Bez plusku zamknęły się nad nim fale. Orski w paru susach dopadł miejsca, gdzie z pokładu znikł Tolba. Wpatrzył się w wodę.

Zbudzony szmerem ze snu, wachtowy Bempo ujrzał porucznika Orskiego pochylonego całym ciałem nad wodą.

— Sukin syn — pomyślał „św. Franciszek“ — sprawdza czy światła się palą...

Dziób „Gwiazdy“ ześlizgnął się po spadzistym grzbiecie fali. Nagły niespodziany wstrząs kadłuba. Postać porucznika Orskiego straciwszy równowagę, runęła w wodę. Głucho plusnęły fale. Zbudzony upadkiem ze snu, Orski miał już usta pełne słonej, gryzącej wody. Krótki, niegłośny, zdławiony krzyk. Woda w płucach...

— Tolba!... i cisza... bulgot... i po chwili już zwykły, spokojny szum fal.

Bempo szeroko otworzył usta — chciał krzyknąć. Powstrzymał się. Czekał. Za burtą było cicho. Spokojnie szumiały fale. Bempo nasunął „bosmankę“ na oczy i oparł się wygodnie plecami o windę kotwiczną. Udawał że śpi.

— Teraz już ty będziesz „kazał do ryb“ — trupie — wymruczał jeszcze. Głębiej nasunął czapkę.

— Za pół godziny krzyknę — człowiek za burzą... — wyszeptał już sennym głosem. — Udawał, że śpi.

A może i zasnął naprawdę.

Cichutko łopotały białe kliwry na wietrze i księżyc kładł swój tajemniczy, srebrny blask na fale, w których znikli Tołba i Orski.

B A N A B A K

Morze nie wszystkich hartuje i wzmacnia — niektórych łamie. Łamie na duchu i ciele. Istnienie zwiędłe wśród poszumów wichrów i fal morza staje się niedołągą fizycznym i umysłowym. Takim właśnie był Banabak. Któż go nie znał z pomiędzy tych którzy obijali się wśród portów oceanu Spokojnego, a później Atlantyku? Wysoki, chudy, o twarzy wielkości figi uczynionej z trzech palców pięści tegoż szypra był uosobieniem jednocześnie dzieciństwa i starczości.

Na twarzy blado-żółtej i nie podlegającej opaleniznie o wyrazie ciągłego z czegoś zdumienia sterczał mały śmieszny nosek po obu stronach którego świeciła się głupio para błękitnych, bezmyślnie przejrzystych i zawsze nieprzytomnych oczu. Wielkie, szeroko rozdziawione usta o grubych wargach ukazywały nagie, blade dziąsła z których wszystkie zęby powydzierał skorbut.

Na uwagę w tem dziwacznem ciele uczynionem chyba przez Stwórcę w chwili roztargnienia albo

jako wzór tego czem być nie należy, zasługiwały jeszcze niesamowicie wielkie dłonie uczezione jakoś koślawo do przeraźliwie chudych, cienkich rąk.

Dłonie te uosabiały niejako straszliwy kontrast całej postaci — były to dłonie jednocześnie starca i dziecka: szerokie o nabrzmiałych palcach i pokryte siecią brózd, cięć, żył i zmarszczek, dłonie starca miały jednak w swym kształcie, układzie i ruchu coś dziecinnego. Rzec można, rączka dziecka wielokrotnie, zwiększona, pokancerowana i zwiędła, lecz kształtna jeszcze, nie powykręcana reumatyzmem i nie spaczona wiekiem. Dziwne miał dłonie Banabak — tak dziwne, jak i on sam. Ubranie jego też śmiechu zewszecmiar było godne.

Ubierał się Banabak na granatowo. Granatowa ziujdwestka, bluza i spodnie stanowiły całość — po prostu były zszyte ze sobą na głucho. Nogawki spodni na dole oraz rękawy bluzy ściągnięte były mocno sparciałemi juzyngami *). Oprócz tego ztyłu ściśle na środku drogi między piętami i czupryną piętrzyła się u Banabaka pod ubraniem nieprawdopodobnych wprost rozmiarów nabrzmiałość. Z tem wszystkiem wyglądał on jak turecka mocno już zużyta odaliska.

*) Juzyng — rodzaj cienkiej linki marynarskiej.

— Czemu ty się tak śmiesznie ubierasz, Banabak? — pytali go marynarze z załóg okrętów na które się zaciągał.

— To dlatego, żeby się było trudniej rozebrać.

— ?

— A co to u ciebie tak puchnie pod spodniami, niżej krzyża?

— To poduszka.

— Cóż to ty bracie tyłek masz szklanny czy co?

— Nie, nie szklanny.

— Więc pocóż to nosisz?

— Trzeba.

— ?

Banabak rzeczywiście, z tyłu, cokolwiek niżej krzyża nosił stale skórzaną poduszkę sporych rozmiarów przytroczoną mocno do ciała rzemieniami od których sprzączki miał zawsze z przodu pod swoją baczoną kontrolą.

Jakiż to śmiech rozbrzmiewał wśród marynarskiej braci, gdy dowiadywała się ona o przeznaczeniu tej poduszcзки!

Tak. Jak świat światem nie było wśród marynarzy gorszej łamagi od Banabaka. Śledź, co się zowie!

Coprawda to marynarzem go nazwać nie można — jakiż z kuchni marynarz? Żadnej roboty mary-

narskiej nie umiał — lin ani ożaglenia nie znał, nie odróżniał nawet grot żagla od kliwra, cóż mówić dopiero o orientacji wśród lin, brasów, fałów, szkotów, gordingów i gejtaw. Szplajsować nie umiał, o sterowaniu i mowy nie było. Wykierowałby statek akurat w paszczę boga morskiego! Jedno co umiał i dobrze, to chodzić na reje. Gdzie się tak tego, ciągle stercząc w kambuzie, wyuczył nie wiedział nikt. Może dlatego dobrze tak skakał po wantach i pertach, że nie bał się śmierci. Pewność siebie dodawała zręczności. Ale na górę puszczali go rzadko — nie miał tam nic do roboty. Wszak tasza była dlań niemal tem samem co sejzing, a sejzing równał się jagsztagowi! Jednem słowem — baran wełnisty. Niektórzy utrzymywali, że jest niespełna rozumu. Wiele w twierdzeniu tem było racji chociaż z drugiej strony w sprawę wejrzawszy, dochodziło się do przekonania, że rozumu on miał więcej od niejednego przemądrzałego bosmana lub żaglomistrza. Wykształcony był Banabak. Nieświetne było to wykształcenie, zaledwie w parze iść mogące z głębią erudycji przeciętnego radjotelegrafisty na bylejakim dwukominowcu, ale jednak było. Banabak znał cośniewielko z matematyki t. j. z arytmetyki, ale i w algebrze nie był zupełnym głąbem. Znał potrosze literaturę, no i w czem mu już żaden radjo-

telegrafista nawet transatlantycki nie mógł sprostać — to w łacinie. Najlepiej jednakże Banabak znał historję. Znał tak dobrze, że nawet w niektórych chronologicznych drobiazgach dość biegle się orjentował. Gdzie posiadał Banabak te wszystkie mądrości — dłuższy czas nie wiadano. Wogóle dość długo cała dziwaczna postać jego z wypiętym kuperkiem owiana była nieprzebitą mgłą tajemnicy. Dopiero gdy Banabak dostał się na pokład barku „Chinsura“ zaczęły jakoś nieznacznie, po trochu, jedna po drugiej spadać zasłony odkrywając właściwe oblicze Banabaka. Stało się to coprawda niezadługo do śmierci jego kiedy to uchylił się ostatni rąbek tajemnicy, ukazując głębie duszy Banabaka.

Podówczas komendantem „Chinsury“ był Mamerłyński, kapitan dalekiej żeglugi, postać tak samo jak Banabak ciekawa i niezwykła. Człowiek ten olbrzymiego wzrostu, szeroki w barach, o wielkiej, czerwonej twarzy z zaczynającemi już siwieć włosami był typem spotykanym dość często na morzu — typem dobrodusznego wilka morskiego, gaduły i rubachy. Gadulstwo rzadkie wśród rzetelnego ludu morskiego, spotyka się jednak dość często w szeregach oficerów marynarki wojennej, gdzie życie towarzyskie jest silnie rozwinięte. Upodobanie swoje

do robienia jak najszerszego użytku z języka nabył kapitan Mamertyński właśnie w marynarce wojennej rosyjskiej, gdzie był komendantem łodzi podwodnej. Ze służby tej Polak — Mamertyński wyniósł trzy rzeczy — szczery żal, że będąc Polakiem musi być w duszy swej wrogiem pobratymczego, sympatycznego narodu rosyjskiego, wstrząs nerwowy po awarii łodzi podwodnej na której był komendantem oraz rosyjskie wyrażenie „tak znaczy“, którego używał zawsze i wszędzie tłumacząc na najprzeróżniejsze języki. To „tak znaczy“ używane zbyt często i nie zawsze trafnie przy głębokim, basowym głosie kapitana Mamertyńskiego, przypominającym dudnienie próżnej beczki było niewyczerpanem źródłem anegdot i opowiastek o kapitanie, krążącym wśród różnojęzycznej załogi „Chinsury“. Mimo to załoga lubiła swego kapitana za wzrost, siłę, szlachetność i szanowała go z powodu legendy o łodzi podwodnej no i potrosze dla jego przywiązania do dalekiej ojczyzny o której piękności i wielkości lubił on opowiadać długo i szeroko niezupełnie prawdopodobne historje.

Mamertyński, syn Polaka, zesłańca na Sybir czując nieprzeparty pociąg do bezkresów morza, a nie mogąc służyć w marynarce ojczystej z powodu braku takowej, wstąpił do rosyjskiego korpusu morskiego

kadetów, ukończył go chlubnie i później już w oficerskiej szkole marynarki wojennej dzięki wyjątkowej sile charakteru, inteligencji i wytrwałości otrzymał stopień mierzmana, który zczasem i stopniowo przeistoczył się na naszywki kapitana pierwszej rangi. W tym stopniu przeszedłszy przez wojnę światową Mamertyński został mianowany komendantem łodzi podwodnej czarnomorskiej floty. Na pokładzie tej łodzi zastała go rewolucja rosyjska i bolszewizm. Wśród ogólnego rozprężenia i szalejącego chuligaństwa kapitan Mamertyński swoją wielką, twardą, włochatą łapą trzymał ostro „za mordę“ załogę łodzi podwodnej. I podczas gdy na sąsiadujących z nią w porcie pancernikach, krążownikach i torpedowcach kotłownie rozbrzmiewały już desperackimi wrzaskami żywcem palonych oficerów, na pokładzie łodzi podwodnej kapitana Mamertyńskiego tęgie kulaki podoficerów robiły jeszcze próby mocy i trwałości uzębienia „matrosów“.

Stan taki przypisać należało nie lękowi załogi przed najtęższą, włochatą pięścią kapitana, lecz raczej szacunkowi jakim otaczano „Mamerta“ za prawość charakteru i niebywale wprost mistrzostwo w dziedzinie przekleństw i wymysłów.

Jednak wśród morza ogólnej anarchji nie mogła

długo ustać małeńka wysepka dyscypliny jaką był pokład łodzi podwodnej — wkradło się niebawem, dzięki staraniom „sowietu matrosów“, rozluźnienie karności wśród załogi i spowodowało katastrofę. Przed tą katastrofą zdarzył się wypadek, który kapitan Mamertyński poczytał za zły omen.

Przed wypłynięciem ze swoją łodzią w morze na ćwiczenia torpedowe, kapitan Mamertyński odwiedził znajomą rodzinę polską zamieszkałą w Odesie. Przy stole w trakcie rozmowy o toczących się szybko, krwawych wypadkach rewolucji damulka pewna o kurzym, jak się niebawem okazało, mózdzku ujrzawszy oficerski mundur Mamertyńskiego zawołała ze szczerem zdumienie: — Jakto?! To pana jeszcze nie zamordowali?!!

Wielki, czerwony kapitan Mamertyński jeszcze bardziej poczerwieniał i zatrzęsł się z oburzenia. Z ust jego wdzięcznie sfrunęło i pękło jak granat przez nieuwagę wymruczane mocne, pokładowe przekleństwo.

Zorientowawszy się w wytworzonej, kłopotliwej sytuacji Mamertyński z początku się zmieszał, przygryzł wąsa, ale później opanowany złością i rezygnacją wstał od stołu i rzuciwszy serwetę na podłogę wydudnił swym donośnym „beczkowatym“ głosem:

„Tak znaczy ja już i tak w tym domu więcej bywać nie mogę, mać że waszą w lewo i wprawo, w tył i naprzód po stokroć i jeszcze pięć razy w kregosłup i między zęby!...“

Dorzuciwszy do tej wiązanki jeszcze parę pięknych kwiatków z portowego bukietu, Mamertyński wyszedł i trzasnął drzwiami.

— To zły omen! — mruczał pod wąsem, idąc na pokład podwodnej łodzi.

I rzeczywiście w krótkim czasie Mamertyński został ukarany za swoje mimowolne grubijaństwo. Oto wieczorem w przeddzień ćwiczeń torpedowych, gdy kapitan Mamertyński po opuszczeniu bandery pożegnał załogę, jak zawsze, sakramentalnem „Dobranoc, marynarze!“ — zaległa martwa cisza. Marynarze łodzi podwodnej podjudzeni przez „sowiec matrosów“ nie odpowiedzieli zwykłym „Dobranoc, panie komendancie!“

Mamertyński poczerwieniał z oburzenia i powtórzył raz jeszcze: Dobranoc, marynarze! Cisza. Spuszczone w dół oczy załogi nie patrzyły w twarz swego komendanta. Wówczas kapitan podszedł do pierwszego w szeregu.

— Dobranoc, marynarzu! — zwrócił się tylko do niego.

Wybrańcem okazał się mechanik podoficer, łotr i szubrawiec z pod ciemnej gwiazdy.

Spojrzał bezczelnie w czerwoną twarz kapitana i nic nie odpowiedział. Sytuacja stała się naprężona. Wszystko zależało od przytomności umysłu i zimnej krwi kapitana. Jeden fałszywy krok mógł go przyprawić o zgubę.

— No ot, tak znaczy, chamskie „czucho“ jesteś, a nie marynarz — wycedził Mamertyński przez zęby.

Jego wielka, włochata, twarda pięść na odlew trzasnęła buntownika w wyszczerzone w bezczelnym uśmiechu zęby. Jednocześnie w lewym ręku kapitana zaślniła lufa mausera. Cios był imponujący — mechanik gibnął się w tył i odbiwszy się plecami od drugiego szeregu runął ciężko na pokład wypluwając z ust krew i zęby. Kapitan Mamertyński z zimną krwią zwrócił się do następnego w szeregu:

— Dobranoc marynarzu!

Ten łypnął tylko okiem na tańczące przed jego nosem włosy kapitańskiej pięści, zerknął raz jeden na rewolwerową lufę i drżącym głosem odpowiedział:

— Dobranoc, panie komendancie!

Mamertyński odstąpił o krok w tył:

— Dobranoc, marynarze!

Załoga powtórzyła odpowiedź kolegi — bunt został stłumiony. Wszelako po wyjściu podwodnej łodzi z portu okazało się, że zбитy przez kapitana podoficer mechanik znikł z pokładu. Mamertyński zbagatelizował ten fakt.

I oto gdy komendant dał rozkaz: na pogrążenie! i łódź podwodna poczęła się zanurzać, któryś tam luk czy przełaz okazał się zepsutym, nie poddał się działaniu ogólnego mechanizmu łodzi podwodnej i fale przez otwór runęły do wnętrza. Łódź zaczęła tonąć. Panika i demoralizacja ogarnęły załogę. Kapitan Mamertyński opanował jednak sytuację. Pozamykał przegrody wodoszczelne, zgromadził załogę w niezalanym przedziale torpedowym i z rewolwem w dłoni panował nad zdemoralizowaną bandą „matrosów“. Wyrzucony na powierzchnię sygnał wskazywał okrętom ratowniczym, które ewentualnie miałyby przybyć na ratunek, miejsce zatonięcia łodzi.

W krótkim czasie chrobot piasku o ściany łodzi dał znać załodze, że są pogrzebani na dnie w swej wielkiej, pływającej, metalowej trumnie. Jakie sceny rozgrywały się tam, na dnie morza — niewiedomo — kapitan Mamertyński pomimo całego swojego gadulstwa nie lubił o tem opowiadać. Wiadomo tylko, że przeprowadzone przez niego, w czasie długich, bez-

czynnych godzin wyczekiwania śmierci, śledztwo i badanie wykazało defekty w mechanizmie łodzi, uczynione przez zemstę zbrodniczą ręką podoficera mechanika. Zbity mszcząc się na kapitanie zatopił wszystkich swych towarzyszy. Z powodu niechęci Mamertyńskiego do opowiadań o tym wypadku mętnie się przedstawia również sposób w jaki potrafił on wyzwolić z toni i uratować załogę swoją i siebie. Uratował zaś wszystkich z wyjątkiem dwóch, których w czasie największego napięcia paniki musiał zastrzelić. Legenda krążąca dokoła jego barczystej postaci głosi, że przy pomocy sprężonego powietrza zdołał przez wyrzutnię torpedową, czy przez jakiś tam luk wypchnąć na powierzchnię pokolei wszystkich marynarzy załogi i samemu wypłynąć na końcu. Co prawda kilku nie wytrzymało wielkiego ciśnienia głębinowych wód i zmarło w kilka sekund po wciągnięciu ich na pokłady ratowniczych okrętów. Podanie głosi również, że Mamertyński po wstąpieniu o własnych siłach na pokład nurkowego okrętowego, serdecznie splunął, wyłajał się szpetnie zawadzwszy językiem prochy matek, babek, i prababek wodzów rewolucji i wyrzekłszy tylko: „Tak znaczy“, ja mówię, że nie on winien ten „czuchna“ — mechanik, ale ci co go podburzali!“ — odszedł szybkim kro-

kiem od otaczających go i wyrażających mu swoje uznanie rewolucyjnych marynarzy. Ta zimna krew jednak była tylko pozorem. Mamertyński po wypadku tym dostał wstrząsu nerwowego, podał się do dymisji, której już nie miał kto przyjąć i wyjechał z Rosji. Nie mogąc jednak rozstać się z morzem i to specjalnie z morzem południowem, tułał się po świecie na pokładach wielu okrętów handlowych, pod banderami najprzeróżniejszych narodowości, ustawicznie tęskniąc i myśląc o powrocie do swej dalekiej, północnej ojczyzny.

Gdy Banabak po wyjściu „Chinsury“ z portu Bony *), gdzie zaciągnął się na jej pokład, dowiedział się od załogi historii kapitana Mamertyńskiego, przyszedł dnia któregoś do komendanckiej rupki „Mamerta“ i sprostował pewne dane w swych dokumentach.

Okazało się wówczas, że nie jest on żadnym „Banabakiem“ lecz „również“ nazywa się Sławiński, ma lat dwadzieścia, a nie, jak mylnie opiewał paszport dwadzieścia sześć. „Banabak“ — jest tylko jego przezwiskiem, które używane ciągle, dzięki zagubieniu poprzednich dokumentów stało się wkońcu nazwi-

*) Bona — Port w północnej Afryce.

skiem. Jest Polakiem tak samo, jak pan kapitan Mamertyński, jak „Banabaka“ dziad i pradziad.

Gadatliwy „Mamert“ po oświadczeniu tem wdał się z rodakiem — kokiem*) w dłuższą rozmowę z której wynikło, że Adaś Sławiński, będąc chłopcem uciekł z domu ojca — syna zesłańca na Sybir i po długich tułaczkach po zrewolucjonizowanym obszarze Rosji trafił w końcu w Teodozji na pokład jakiegoś tureckiego statku, gdzie został przyjęty do załogi w charakterze kuchcika.

Na pytanie Mamertyńskiego, czemu uciekł z domu, Banabak mruknął coś o pociągu do przygód i dalekich podróży, a później długo i szeroko rozprawiać począł o nędzy, głodzie i strasznym życiu jakie z powodu rewolucyjnych rozruchów pędziła rodzina Sławińskich.

— A teraz znaczy, chciałbyś wrócić do domu? — zagadnął go Mamertyński.

— Pewnie, że chciałbym, tylko gdzie ja go szukać będę tego domu?

— Jakto gdzie? Tak znaczy, tam skądś wyszedł. Może ojciec i matka nie wyjechali jeszcze stamtąd...

— E... e... e... — nie warto, panie kapitanie — mruknął Banabak.

*) Kok — kucharz okrętowy.

- Co, nie warto?
- Nie warto wracać.
- Czemu nie warto wracać?
- A tak nie warto.
- No, tak znaczy, powiedz, dlaczego?

Banabak milczał. Pod wpływem wspomnień naszło nań otumanienie, które go ogarniało od czasu do czasu uniemożliwiając wszelką z nim rozsądną rozmowę. I teraz też, na tem zagadkowym „nie warto“ urwała się pogawędka z kapitanem Mamertyńskim — Banabak wrócił do kambuza, a „Mamert“ do swoich nawigacyjnych obliczeń.

Jakimś sposobem jednak rozmowa ta przedostała się z rupki do kubryku * i załoga zainteresowawszy się w specyficzny sposób początkiem historii Banabaka, wyciągnęła od niego szczegóły jej dalszego ciągu.

W załodze każdego niemal okrętu, zwłaszcza żaglowego, znajdują się wesołki ponurego sposobu zabawiania się, którzy kosztem wybranych na ten cel ofiar urozmaicają towarzyszom życie najprzeróżniejszymi wątpliwej zresztą wartości „szpasami“. Na „Chinsurze“ rolę takich „promyków wesołości“ peł-

*) Kubryk — Pomieszczenie dla załogi.

nili, Grek Safandopułło i Rosjanin Syroj. Grek ośmiesział towarzyszków i czynił im wszelkiego rodzaju złośliwości przez wrodzony mu już „szwarczarakter“, Rosjanin zaś gwoli wesołości i jeśli tak w tym wypadku można się wyrazić — dla sztuki. Z początku, gdy tylko rejs się rozpoczął „sztuka“ ta szła im dość opornie. Załoga składająca się z różnojęzycznych i dobrze już przez życie schlastanych draniów lubiła ogromnie śmiać się z innych, natomiast nie znosiła jakichkolwiek drwin z samej siebie. Zdarzało się niejednokrotnie, że Safandopułło po obrzuceniu kwieciami swej bujnej wymowy jakiegoś wolnego obywatela United States of America lub dumnego syna Albionu, chadzał dni parę ze zwichniętą szczęką dopóki po następnej szermierce językowej bylejaki Hiszpan lub Włoch ognistym trzaśnięciem pięści z przeciwnej strony nie wprawiał mu jej z powrotem w zawiąsy. Dopiero gdy w Bonie, na pokład „Chinsury“, chwiejnym kroczkiem wstąpił Banabak, nastąpiły złote czasy dla załogowych wesolków.

Rzeczywiście Banabak, jako temat dla drwin i docuczań był niezastąpiony. Jego wypięte siedzenie i twarz wielkości pięciu groszy same prosiły o jak najzjadliwszą parodję i drwinę. Zresztą i niebezpieczeństwo żadne, ze strony jego dziwolągowych rąk,

nie groziło dowcipnisiom. Trudno było sobie wprost wyobrazić idjotyczną gębę Banabaka rozplomienioną szalem walki, lub jego głupio obrzmiałą pięść zadającą ciosy i razy. Z tej pokojowej struktury Banabaka nie omieszkali oczywiście skorzystać Safandopullo i Syroj.

Aż dziw zdjął załogę, jak w krótkim czasie Grek i Rosjanin zdołali Banabaka zajmującego lękiem przejmujące stanowisko kucharza, uczynić ogólnem pośmiewiskiem.

A stało się to mniej więcej w tydzień po odpłynięciu „Chinsury“ z Bony.

Zachodzące słońce lało swój czerwonawy, spokojny blask na stateczne tego dnia fale oceanu unoszące na swych grzbietach kadłub „Chinsury“.

Na masztach stały wszystkie żagle, gdyż leniwy wietrzyk nie przekraczający mocy 2 ledwo ledwo posuwał bark naprzód. Była godzina szósta i marynarze którzy tylko co objęli swą dwugodzinną wachtę nie mieli nic do roboty. Załoga cała wyległa na pokład i rozsiadła się na śródokręciu na zapasowych stengach. Z kambuza, po wymyciu poobiednich półmisków, wylazł także Banabak.

Przez chwilę rozglądał się głupkowato dokoła, a później usiadł na grota luku akurat naprzeciwko

rosjanina Syroja. Ten mrugnął tylko okiem na swego pomagiera Safandopułkę i odrazu rozpoczął „sondowanie“ Banabaka.

— Ty, kuchta, pocoś przylazł na „Chinsurę“?

— A tak sobie — odparł uśmiechając się Banabak.

— A przedtem gdzieś służył?

— Na „Gwieździe Polarnej“.

— To ta bolszewicka?

— Tak, bolszewicka.

Syroj pomilczał chwilę, skrzył grubego papierosa i zaczął z innej beczki.

— A czemuż ty, kuchta, zad masz taki wypięty, hę?

Wśród marynarzy, których „zad“ Banabaka zdążył już zainteresować powstał ruch. Niektórzy dźwignęli się ze swoich miejsc i podeszli bliżej.

— A czemuż ty, kuchta, zad masz taki wypięty, powiedz? — powtórzył znowu Syroj tak, żeby go wszyscy słyszeli.

— A tak sobie — niechętnie odmruknął Banabak.

— Jaktó tak sobie?! Mac twoją warzáchwią w patelnię! — obruszył się raptem Syroj. — Cóż ty mi

tu kucharski ryju kotleciany dziwne historie jakies opowiadasz?!

Banabak poruszał nerwowo bezzębnymi ustami i milczał.

— Poczekaj! Ty nie tak.. — odezwał się raptem Safandopullo. — Słuchaj, duszo moja — zwrócił się Grek do Banabaka — myśmy słyszeli, że ty się nie nazywasz Banabak, a jakoś inaczej. Czemu ukrywasz swoje nazwisko? Może ty jesteś przebranyym królewiczem?

Wśród otaczających marynarzy powstał śmiech. Zaczynało się robić wesoło.

— Nie jestem żadnym królewiczem — odparł ponuro Banabak — nazywam się Sławiński, jestem Polak.

— Czarci cię bierz kto ty jesteś — wtrącił się Syroj — tu są z różnych krajów bandziory! Gadaj dlaczego wabisz się Banabak, a nie jak ci tam jest naprawdę Sławiński!

— To długa historia — z namysłem, wolno odpowiedział Banabak.

— Czort ją bierz z tem, że długa! Ty ją skróć i opowiedz nam.

Banabak długo się namyślał, lecz wkońcu rzekł:

— Dobrze, opowiem wam tę historję tylko pod

jednym warunkiem, że nie będziecie się ze mnie wyśmiewać.

I gdy Syroj wespół z Safandopułą zapewnili Banabaka w imieniu całej załogi, że nikt się z niego nie będzie wyśmiewać, Banabak zaczął opowiadać:

— Banabakiem, widzicie, nazywam się teraz dlatego, że będąc jeszcze w załodze „Konstantynopola“ opowiedziałem towarzyszom jedną historję z mojego życia... Oni przyczepili się do pewnych szczegółów tej historji i przewali mnie Banabakiem. Później to już tak się utarło, że sam siebie zacząłem uważać nie za Sławińskiego, tylko za Banabaka.

Banabak przerwał i zamyślił się jakby czemś zakłopotany.

— No cóż nie opowiadasz? Gadaj dalej! — odezwał się Safandopuło.

— Boję się, że będziecie się śmiać ze mnie...

— Jużesmy ci raz powiedzieli, kuchenne sadło — wydarł się Syroj — że nikt się z ciebie nie będzie śmiał! Gadaj nam tę historję, którą żeś opowiadał tamtym z „Konstantynopola“!

— Właściwie to jest krótka historja... — rozpoczął Banabak zaczerpnąwszy pełną piersią powietrza.

— To cóżes łąał, że będzie długa?! — zgromił go Syroj.

— Milcz! — syknął nań porozumiewawczo Sa-fandopułło.

— Posłuchajcie! — Banabak wstał z grota luku, wyprostował się, nozdrza małego noska drgały. Twarz miał zaróżowioną, błękitne oczki świeciły gorączkowo — wzruszenie jakieś ogarnęło Banabaka.

— Posłuchajcie!

— „Czy znacie chiński port In-Kon? Jest tam taka mała, ciemna, kręta uliczka... Szedłem nią kiedyś, gdym był ze statkiem swoim w In-Kon. Nagle z jednego szynku, których jest tam dużo wyszło dwóch ludzi. Ubrani biało z długimi, czarnymi brodami. Wysocy.

Zaczęli mi się bystro przyglądać, bo było ciemno — noc.

— Ban-Abak! S..s...s..s.. sssss — zawołał jeden z nich.

— Ban-Abak! Ssss...ss..s...ss..s... — powtórzył drugi.

Podszedł do mnie i wziął za rękę. Podszedł i ten, który zawołał pierwszy — Ban-Abak! Coś mi zaczęli opowiadać wywijając rękoma w kierunku szynku. Nie rozumiałem ich mowy. Nie mówili ani po angiels-

sku, ani po chińsku. Dziwacznie jakoś. Twarze też mieli jakieś dziwne — ni to Chińczycy ni to biali! Z Indochin może? Pokazywali też co chwila sakiewki pełne monet. Ciągnęli do szynku. Poszedłem z nimi wkońcu. Przed drzwiami jeszcze, zatrzymali się przyłożyli palce do ust i wyszeptali jednocześnie: Ban-Abak! Ssss...s... Ban-Abak! Ssss...s...s...

Siedliśmy przy stoliku, w głębi sali, w jednej z nisz. Piliśmy. Piliśmy dużo. Piliśmy za dużo nawet. Przynajmniej ja piłem za dużo. Oni może pili mniej, a może i nie pili wcale. Nie pamiętam już dobrze. Wkrótce byłem nieprzytomny. Czuję, jak spadłem z krzesła, jak mnie ktoś podniósł i gdzieś niósł. Światło jakieś zielone przedzierało się przez powieki. Ciszka. Gdym się ocknął leżałem rozebrany w łóżku, w małym, pustym pokoiku, a u sufitu kołysała się mała lampka w zielonym abażurze. Ktoś leżał obok i obejmował mnie za szyję. Był to jeden z tych dwu. Odsunąłem się od niego. Wtedy on wylazł z łóżka i otworzył drzwi pokoiku... wszedł drugi. Podeszedł do mnie. — Ban-Abak! Ban-Abaaaak! Czarna broda zakłósała się nade mną. Na piersiach i brzuchu uczułem nieznośny ciężar...

— Ban-Abaaaak! Ban-Abaaaak! Ban-Abaaaaak!“

Opowiadanie Banabaka przeszło raptownie

w przeraźliwy, nieprzytomny, obłąkany krzyk. Zagłuszył go potężny wybuch śmiechu zebranych marynarzy. Banabak stał w środku otoczony ich rozrechetaną, rozwrzeszczaną gromadą. Żółte policzki jego stały się blade, niemal przezroczyste. Błędny wzrok skakał niespokojnie z jednej twarzy na drugą. Grzbiet Banabaka całkiem widocznie przebiegał dreszcz.

Upadając niemal ze śmiechu, podszedł Syroj. Ręką wskazał Banabaka.

Rozumiecie?! — krzyknął do towarzyszy. — Rozumiecie teraz? Rozumiecie poco on nosi na zadku tę poduszkę?! Ban-Abaaak! Żeby było trudniej się dostać do niego!! O! O! O! O! Zdechnę chyba ze śmiechu! Rozumiecie teraz? Poduszcza!! Żeby było trudnie... O! O! O! Skonam! Boi się żeby po raz drugi... ktoś... nie... złakomił się... na niego... O! O! Oho! Oho! Poduszcza! Oho! O! ho! ho!

Zbliżył się jeszcze Safandopułło, cichutko chichocząc w pięść. Obydwaj, Syroj i Safandopułło z rechetem, krzycząc na całe gardło „Ban-Abaaaak!“ runęli na Banabaka, przewrócili go na pokład i obejmując, usilnie starali się zdrzeć zeń przytroczoną rzemieńcami poduszkę. Śmiech, rechoty, wrzaski i kwiki zebranej bandy nie posiadającej się z uciechy zagłu-

szyły poszum fal i klaskanie żagli. Zdawało się, że szal jakiś ogarnął załogę. Wtedy na śródokręciu zjawił się nagle kapitan Mamertyński. Potężną, włochatą pięścią odrzucił precz Syroja i Safandopułę od półzywego ze wstydu i zmęczenia Banabaka.

— Tak znaczy, cóż wy tu z nim wyprawiacie? — zadudnił swym beczkowatym głosem „Mamert“. — Mamusię waszą w mózg, a rzetelnie! Rekinie ogony schlastane!

Banabak stał ciężko dysząc z opuszczoną na piersi głową. W rękę trzymał zerwaną, skórzaną poduszkę z pomiętymi rzemieniami.

— Idź do kambuza! — mruknął doń Mamertyński. A gdy Banabak odszedł, „Mamert“ pokazał jeszcze swą olbrzymią pięść Safandopulle i Syrojowi, dał im ją każdemu z osobna do powąchania i oddalił się do siebie na rufę.

Od tego dnia rozpoczęło się systematyczne znęcanie się i katowanie Banabaka przez Syroja i Safandopułę przy powszechnym aplauzie załogi. Osia prześladowań była skórzana poduszczyca manjaka, którą zarówno Grek, jak i Rosjanin na wyścigi starali się zerwać, udając przytem jakieś niezdrowe w stosunku do Banabaka podniecenie erotyczne. Przeczulony już na tym punkcie manjak brał cał-

kiem poważnie goryle zaloty wesołków, płakał, łkał, darł się w niebogłosość w czasie operacji zdzierania żeń poduszeczek, czem jeszcze bardziej podniecał zapal żartownisiów i jeszcze potężniejszy śmiech i pogardę wzbudzał w załodze. Dochodziło czasami do tego, że napół obłąkany, oszalały z rozpacz i wstydu podbiegał do burty w zamiarze skończenia nędznego życia w falach oceanu. Wtedy na dni parę dawano mu odpoczynek i potem zaczynało odnowa. Cierpienia Banabaka nie miały końca. Kapitan Mamertyński bronił potrosze swego rodaka pokazywał i dawał wachać prześladowcom swą włochatą pięść, a nawet raz gwizdnął nią w ucho Greka tak potężnie, że ten przez całe życie już zlekka niedosłyszał i miewał wieczorami uporczywe bóle głowy. Obrona ta nie była jednak opieką niańki i prześladowania przerywane na krótko zapachem włosów kapitańskiej pięści odnawiały się i były coraz natarczywsze i coraz bardziej wyrafinowane. Zresztą i obrona ta wypływająca z sympatji Mamertyńskiego do rodaka, wkrótce ustała z powodu pewnego wypadku, który przychylność kapitana do kucharza zamienił na niechęć, a nawet na wrogi stosunek.

A stało się to niezadługo do zarzucenia kotwic „Chinsury“ w porcie Cherbourg. Istnieje na pokła-

dach wszystkich niemal okrętów żaglowych, szlachetny, tradycją uświęcony zwyczaj kradzieży prowiantów z kambuza. Zwyczaj ten ma mało zastosowania tam gdzie kucharz jest energiczny i zły, natomiast bardzo szeroko się uprawia, gdzie kok jest z usposobienia kluską i nie ma władzy nad marynarską bracią. Samo przez się rozumie, że Banabak należał do tej drugiej, „kluskowatej“ kategorii koków. Takiej jednak niezdary, jak Banabak nie było na pewno nigdy i nie będzie wśród kasty kucharzy okrętowych. Prowianty „wędzono“ mu niemal z patelni. W sztuce tej, tak samo zresztą, jak i w innych mało z uczciwością mających wspólnego, celowali Safandopułło i Syroj. Grek zwłaszcza, odznaczający się nieprzyzwoitym wprost apetytem, przebierał wszelką miarę w uszczuplaniu zapasów magazynu żywnościowego. Mamertyński, który zwrócił uwagę na zbyt szybkie zmniejszanie się prowiantów, wezwał Banabaka do siebie i nakazał mu oszczędność w rozdzielaniu dziennych racyj obiadowych. I oto następnej nocy gdy wachta w której byli Syroj i Safandopułło, schodziła ze służby otwarły się cicho drzwi prowadzące do kuchni i dwie postacie, jak cienie wślizgnęły się do środka. Banabak, który spał w nocy na ciepłej jeszcze płycie kuchennej, ostrożnie uniósł

głowę. W świetle księżycy przenikającym przez iluminator u góry ujrzał na środku kambuza Rosjanina i Greka. Obydwaj zgarniali ze stołu w poły bluz puszki mięsnych konserw przygotowane do obiadu na dzień następnny. Banabak zerwał się z płyty.

— Co robicie — krzyknął w rozpacz — te puszki są wydane przez kapitana na jutro. Więcej już ich od niego nie dostanę!

— Milcz! — syknął nań tylko Syroj zgarniając puszki ze stołu.

— Obiadu jutro nie będzie! — płakał Banabak.

— Milcz, duszo moja, bo cię tu zaraz zniewolimy — z lodowatym spokojem oświadczył Grek.

Banabak ogarnięty przerażeniem z głuchym jękiem wcisnął się w kąt kambuza i milczał. Słyszeć było tylko, jak pośpiesznie i trwożnie łomotało jego serce.

Napastnicy dokonawszy rabunku tak samo cicho, jak weszli wyslizgnęli się z kuchni. Banabak siedział skulony w swym kącie i jarzącym się wzrokiem patrzył w mrok kambuza.

Nazajutrz załoga nie dostała obiadu, powstał groźny rozruch i oto wieczorem po opuszczeniu bandery kapitan Mamertyński zeszedł na śródokręcie

i wezwał Banabaka do siebie. Załoga otoczyła ich ciasną obręczą.

— Tak znaczy, dlaczego dziś nie było obiadu? — zadudnił kapitan Mamertyński, zwracając się do Banabaka.

— Skradziono, panie kapitanie, puszkę z mięsem — ledwie wyjąkał trzęsący się ze strachu Banabak.

Czerwony od gniewu „Mamert“ posiniał z wściekłości. Z gardła jego dobyło się jakieś niehumanitarne charczenie, a potem lunął gwałtownie potok wyzwisk, przekleństw i obelżywych słów.

— A...a...a...a...a... psie syny! Czuchna parszywe! — ryczał olbrzymi kapitan tupiąc nogami w deski pokładu. — A — a — a — złodzieje! Wielorybie ogony! Kraby pryszczawe! Kradniecie prowiant przed przybyciem do portu?! Żeby go później sprzedać w jakiejś knajpie?! Złodzieje! Sukinsyny! Macz waszą w ślepią raczym ogonem!!! Pod sąd was oddam złodzieje! A...a...a... A...

Mamertyński opanował się z nagłą i po chwili już spytał spokojnie:

— Tak znaczy, którzy skradli? Przyznać się bez bicia!

Załoga milczała. Mamertyński powiódł wzrokiem

po twarzach. Oczy wszystkich „bodły“ twarz kapita-
tana. Nie odezwał się nikt.

— Przyznajcie się lepiej — powiedział znów Mamertyński — jeśli przyznacie się sami, zbiję tylko po mordzie, jeśli sam dojdę kto złodziej — oddam pod sąd morski. Gadać!

Głuche milczenie panowało w tłumie marynarzy.

Wtedy Mamertyński zwrócił się do Banabaka.

— Ty spałeś w kambuzie tej nocy?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Widziałeś tych, którzy kradli?

Bladość śmiertelna pokryła żółtą maskę Banabaka. Milczał. Kolana dygotały pod nim. Zdawało się, że za chwilę upadnie.

— Nie bój się, powiedz — ciągnął dalej Mamertyński — nie dam cię skrzywdzić. Złodziei zamknę odrazu w fortriumie i wypuszczę dopiero na sąd. Nic ci nie zrobią złego. Ja nie dam. Nie bój się. No, więc? Mówże!

Banabak milczał. Mamertyńskim znów wstrząsnęła pasja.

— Powiedzże nareszcie czyś ich widział, skwarko plugawa?!

Mamertyński postąpił krok naprzód i podsunął pięść pod nos Banabaka.

— Gadaj, kuchto! Widziałeś?!

— Nie widziałem, panie kapitanie — wyszeptał Banabak.

Rozległo się głucho uderzenie i ciało Banabaka zwalone pięścią kapitana runęło na pokład.

— Sam złodziej jesteś — wycodził Mamertyński przez zęby — sam złodziej jesteś skoro nikogo wskazać nie możesz. Sam żeś schował puszki z mięsem, żeby je później sprzedać w Cherbourg. Parrrr-szywiec!

Odwrócił się od leżącego w omdleniu Banabaka i odszedł za rufę.

Po wypadku tym katowania i znęcania się nad Banabakiem wzmogły się jeszcze bardziej. Pozbawiony potężnej opieki rozgniewanego kapitana, Banabak był zupełnie bezbronny wobec prześladowców. Syroj zaś i Safandopullo składając postępek Banabaka na karb jego tchórzostwa poczuli doń głęboką, szczerą pogardę i nienawiść.

Marynarze szanują tylko siłę i dzielność. Ideały łagodności, samozaparcia się i poświęcenia są dla nich obce i niezrozumiałe. To też nikt z załogi nie zrozumiał Banabaka. Każdy marynarz nie miał dlań innych uczuć oprócz uczucia pogardy dla tchórza. Syroj zaś i Safandopullo jak każdy prześladowca

względem swej ofiary, żywili doń jeszcze silną, głuchą nienawiść. Oburzało ich, że ten nad kim oni pastwili się tak usilnie, zachowuje się biernie, nie broni się i nie bije, znosząc z pokorą wszelkie drwiny, obelgi i maltretowania. Nie rozumieli zwichniętej przeżyciami młodości duchowej struktury manjaka. Nieświadomie dążyli do tego, by w biernej, chorej duszy Banabaka wywołać reakcję — reakcję czynu. Wszelkimi siłami i środkami starali się pobudzić to znękanе ciało do obrony, do walki, któraby im dostarczyła nowych wrażeń, nowych rozrywek i śmiechu w monotonnem życiu na pokładzie „Chinsury“. Nie udawało się im to nigdy. — Banabak był martwy, martwy za życia, myślący i rozumujący kategorjami zaświatów. Tem większa też rosła w nich przeciwko niemu zawziętość pociągając za sobą całe serje coraz bardziej wyrafinowanych, szalonych, osiagających czasami moc orgji prześladowań.

Całkiem inaczej niż przypuszczali reagowała na nie chora, nienormalna, nieziemska już jaźń Banabaka. Wszystko jednakże ma swój koniec. Nastal on i dla cierpień Banabaka. A nastal wtedy gdy prześladowania osiagnąwszy punkt kulminacyjny przy-

brały postać ciężkiej, koszmarnej zbrodni i zostały przypieczone krwią.

Stało się to na drugi dzień po zarzuceniu kotwic „Chinsury“ w porcie Cherbourga. Dnia tego cała załoga prócz kilku służbowych marynarzy zeszła na ląd i rozlazła się po knajpach i szynkach. Już od samego rana Safandopułło i Syroj, którzy postanowili uczynić w Cherbourgu coś niezwykle „wesołego“, udawali wobec Banabaka przyjaźń i szczerość. Nieszczęsny manjak, przypuszczając, że może zmiękły wreszcie kamienne serca jego prześladowców, brał to za dobrą monetę i chętnie przestawał z Safandopułą i Syrojem. Ani razu nie udało mu się zauważyć drwiących, porozumiewawczych spojrzeń jakie zamieniali pomiędzy sobą Grek i Rosjanin. Ci zaś uknuli szatański zaiste plan i umówiwszy się z Banabakiem na wieczór w jednej z nadbrzeżnych kawiarni zaczęli poszukiwać po różnych norach i dziurach portowych z całej załogi im tylko znanych też im tylko znanego człowieka. Znaleźli go wkrótce i przy szklaneczkach wódki ubili z nim jakiś niezwykle ważny interes. Później oczekiwali już tylko zmroku i godziny spotkania się z Banabakiem.

O godzinie ósmej wieczór przy stoliku kawiarni położonej vis-a-vis pasażerskiego mola zeszli się

wszyscy czterej: Syroj, Safandopułło, Banabak i ów nieznany człowiek, Francuz nazwiskiem Mahayo. Grek i Rosjanin na samym wstępie oświadczyli, że zamierzają pogodzić się z Banabakiem. Wyciągnęli dłonie. Banabak uściśnął je z zapalem i nie posiadał się z radości. Przypuszczając że teraz skończą się wszystkie jego niedole wpadł w ciełący zachwyt, rzucał się na szyję z początku Syrojowi, potem Safandopulle i nawet oświadczył w swem radosnem ogłupieniu, że lepszych ludzi i towarzyszy nie spotykał nigdy w swem życiu. Wtedy Safandopułło zamieniwszy znaczące spojrzenie z Mahayem zaproponował oblanie zgody. Rozpromieniony szczęściem Banabak przyjął to z entuzjazmem i ofiarował się zapłacić wódkę za wszystkich. Jednakże okazało się to zbędne, gdyż Syroj miał już dwie butelki w kieszeni. Za namową Mahaya postanowiono nie iść nigdzie do szynku, lecz kupiwszy zakąsek wypić wódkę na pokładzie pierwszego lepszego szkuneru, których kilka stoi przy podmurowaniu wewnętrznej przystani. Są to zdeklasowane szkunery, załogi na nich niema i nikt absolutnie tam nie zagląda.

O godzinie dziesiątej całe towarzystwo siedziało już w nieprzebitych ciemnościach kubryku jednego z tych starych, napółrozwalonych szkunerów. Bu-

telki opróżniały się szybko. Gdy w obydwóch ukazało się dno, Syroj i Safandopułło wyszli na pokład. Lekko się chwili na nogach. Skręcili i zapalili papierosy. W świetle ogników to ukazywały się to znikwały ich rozgorączkowane alkoholem, złośliwie uśmiechnięte twarze. Ciągłe nasłuchiwali czegoś przy zamkniętych drzwiach kubryku. W końcu zaczęli się niecierpliwić.

— Cóż on tak marudzi, ten Mahayo? Mać jego...

Syroj nie dokończył. Za drzwiami kubryku rozległy się odgłosy szamotania, uderzeń i jęków. Po chwili na pokład wybiegł Banabak w poszarpanem na całym ciele ubraniu. Za nim wytoczył się gruby Mahayo, czerwony z rozbitą wargą.

— Cóż to za oszukaństwo?! — wrzasnął na całe gardło, głośząc jęki i narzekania Banabaka usiłującego wdrapać się na podmurowanie przystani.

— Cóż to za oszukaństwo?! — krzyknął po raz drugi, łapiąc Syroja za kołnierz bluzy — on wcale nie chce... Cóżecie mi nałgali?! On się bije i gryzie zamiast dać się popieścić! Cóżes mi nałgał, łajdaku, pytam się ciebie!

Syroj mocną dłonią oderwał rękę Mahaya od swojego kołnierza.

— Spokojnie — rzekł tylko — spokojnie, bo policja przyjdzie.

Safandopullo tymczasem ściągnął siłą szarpiącego się Banabaka z przystani na pokład, wepchnął do kubryka i przytrzymał drzwi.

— No, leż teraz do niego — syknął Grek do Mahaya — nie bój się, jak nie będzie się dawał, to już my ci pomożemy.

Ale Mahayo nie chciał. Banabak trzęsący się ze strachu za zamkniętymi drzwiami kubryku słyszał odgłosy coraz bardziej potęgującej się kłótni. Syroj i Safandopullo ciągnęli Mahaya do kubryku, ale tamten opierał się protestował, wkońcu zaczął wymyślać im na głos i żądać zwrotu jakichś pieniędzy. Kłótnia zamieniła się w końcu w bijatykę. Trzy ciała zbite w potworny kłęb tułowiów, głów, rąk i nóg potoczyły się w ciemności po deskach pokładu charcząc i ciężko dysząc. Banabak przez lekko uchylone drzwi patrzył ze zgrozą na to widowisko. Korzystając z nieuwagi walczących wymknął się z kubryku, wdrapał się po jakiejś cumie na przystań i oszalały z przerażenia pomknął nie oglądając się w ciemne ulice portowe.

Tymczasem na pokładzie szkunera gruby Mahayo wyrwał się z rąk przeciwników i odstąpiwszy na

kilka kroków runął z impetem na stojącego najbliżej Safandopułę. Przewrócił go na pokład i zaczął dusić. Syroj słaniając się ze zmęczenia na nogach stał przy burcie ciężko dysząc i spluwając krew z rozbitych warg.

— Oddaj pieniądze! — ryczał Mahayo dławiąc kolanami pierś i gardło Greka. — Oddaj pieniądze, oszuście!

— Ja... nie mam... — ledwo wykrztusił z siebie napół żywy Safandopuło. — Pieniądze... ma... Syroj...

Mahayo puścił Greka i rzucił się na Syroja. Tamten ze zmęczenia ledwo stojąc na nogach zdołał tylko zakląć, gdy miażdżący cios pięści Francuza zwałił go na pokład. Zerwał się jednak. Rosjanin i Francuz stali naprzeciw siebie ciężko dysząc i klnąc. Obydwaj szykowali się do walki. Safandopuło co parę sekund popadając w omdlenie leżał na pokładzie i biernie przyglądał się temu widowisku.

Pierwszy skoczył Francuz. Syroj usunął się błyskawicznie i podstawił nogę nacierającemu. Mahayo runął na pokład. Wtedy jakby nagle odzyskawszy siły, Syroj rzucił się na leżącego.

W mdłym, migotliwym świetle rzadkich latarni portowych zimnym blaskiem zaśniła stal i zgasła tuż

przy szerokich, otyłych plecach Francuza. Krew, ciemną strugą bluznęła na deski pokładu. Z gardła Mahaya dobyło się charczenie, jęk, a później głośny, przeraźliwy, duszę rozdzierający krzyk zabrzmiał koszmarnie w cichych ulicach portowych.

— Ratunkuuuuuu!

Syroj prawą ręką zdławił gardło Francuza, a lewą trzymając nóż pchnął w bok raz, drugi i trzeci. Krzyk się urwał i tylko przedśmiertne charczenie dobywało się z piersi Mahaya. Było już jednak zapóźno — z głębi przybrzeżnych ulic zabrzmiały na alarm jękliwe gwizdki policyjnych patroli. Syroj porzucił zabitego i podniósł z pokładu Safandopułłę.

— Uciekajmy! — wyrzucił jednym tchem —
Policja!

Greki oprzytomniał. Obydwaj rozejrzeli się dokoła. W głębi przystani majaczyły już płaszcze francuskiej policji portowej.

— Do wody! — krzyknął Syroj, zepchnął Greka z pokładu i sam skoczył za nim. Popłynęli szybko w kierunku redy, gdzie błyskały światelka „Chinsury“. Za nimi buchnęło kilka ogni wystrzałów. Kule plusnęły obok nich w fale. Nie trafiła żadna. Po dwudziestu minutach obydwaj podpłynęli do trapu „Chinsury“. Weszli na pokład. Nie zauważył ich nikt.

Trapowy uciął sobie drzemkę w waterwejsie, w cieniu burty. Przedewszystkiem poszli do kuchni. Już przy drzwiach posłyszeli jakiś monotony głos rozlegający się na płycie kuchennej. Banabak leżał na płycie twarzą w dół i pośpiesznie mamrotał:

— Nie mogę żyć... nie mogę żyć... nie mogę żyć...

Syroj podsunął mu pięść przed oczy i wycharczał:

— Mahaya zabiłem... żebyś słówka o niczem nikomu nie pisała... pamiętaj... bo śmierć...

Banabak nie zwrócił nań najmniejszej uwagi.

— Nie mogę żyć... nie mogę żyć... nie mogę żyć... — mamrotał nieprzytomnie, kamiennym wzrokiem patrząc w deski kambuza.

— Zwarjował! — mruknął Safandopullo. — Nie wysypie nas. Chodźmy się przebrać...

Nazajutrz zrana, gdy do burty „Chinsury“, na dwóch motorówkach przybiła portowa policja w celu dokonania śledztwa w sprawie zabójstwa znanego w Cherbourgu zboczeńca nazwiskiem Mahayo — znaleziono Banabaka martwego z podciętymi żyłami leżącego na płycie kuchennej kambuza. W zeszywniałych już zimnych palcach jego dziwacznych rąk znaleziono kartkę tej treści: „W śmierci Francuza Mahaya proszę nikogo nie winić — ja go zamordo-

wałem, gdyż chciał mnie zniewolić. Ja nie mogę żyć, gdyż mam ciało zbrukane. Do nikogo urazy nie mam. Przez życie całe Chrystusową pokorą starałem się zmasać mój mimowolny grzech młodości. Bóg mi przebaczy“.

Policja salutowała zwłoki zmarłego zbrodniarza i odjechała nie aresztowawszy nikogo. Po kilku dniach „Chinsura“ zabrawszy nowy ładunek odpłynęła z portu na pełne morze.

Kapitan Mamertyński przejął się bardzo śmiercią Banabaka. Przebaczył mu kradzież prowiantów i morderstwo. Zato zawziął się na Syroja i Safandopułę. Po śmierci Banabaka Mamertyński pływał jeszcze na „Chinsurze“ przez dwa miesiące. I w ciągu tego czasu nie było dnia by coraz nowe sińce nie zjawiały się pod oczami Safandopuły i Syroja po procedurze „wąchania“ kapitańskiej pięści.

Wkońcu jednak nie mogąc przetrwać na morzu wrażenia jakie wywarła nań śmierć rodaka, kapitan Mamertyński porzucił służbę morską i zjechał na ląd do Polski.

Mieszka on teraz w małym prowincjonalnym miasteczku i opowiada ciekawym sąsiadom o swoich przeżyciach na oceanie i morzu.

A kiedy go pytają, czemu porzucił służbę w ma-

rynarce, kapitan Mamertyński macha tylko ręką i wspomniawszy zmarłego Banabaka, zamyśla się i cicho odpowiada:

— Et, tak sobie... Odpocząć, znaczy, chcę.

P I E Ś Ń F A L

Wśród wielu legend, wierzeń i przesądów marynarskich, utrzymuje się jedno podanie na prawdziwym oparte zdarzeniu. Starzy marynarze odbywający rejsy po oceanie Atlantyckim utrzymują, że gdy okręty ich mijają małą skalistą wysepkę Deserto Grando na pokład, do uszu ich wraz z poszumem fal dolatują skądś z głębin, przytłumione, smętne tony skrzypiec. Dzieje się to oczywiście tylko w jasne, księżycowe noce, gdy powierzchnia oceanu niezmaczona najłżejszym wiaterek srebrzy się tajemniczym światłem miesiąca. Nie wszyscy też mogą usłyszeć tę skrzypcową melodię głębin. Tych którzy ją słyszeli, i tych którzy jeszcze usłyszą jest niewiele. A i ta drobna garstka niechętnie się do tego przyznaje i trzyma w tajemnicy zasłyszaną melodię wód oceanu. Ci bowiem w których uszy i serca wniknęła są wybrańcami losu. Pieśń fal brzmiała w noc księżycową i w ciszy morskiej przynosi szczęście temu kto ją usłyszy. Wierzenie to na prawdziwej jest oparte historii. Oto ona...

Przed pięćdziesięciu mniej więcej laty gdy jeszcze burty statków nie miały stalowego pancerza, a żelazne kadłuby ich wolno i z trudem rozpieniały oceany i morza i gdy widok białego żagla był bardziej powszednim niż dziś potężne kolumny kominów wielkich transatlantyków, na niewielkim żaglowcu, białym barku „Mewa“ odbywali długie rejsy między portami Europy i Ameryki ojciec i syn Szordowie. Wytrawnym wilkiem morskim był stary Szorda, kapitan dalekiej żeglugi. Siwe, już mgłą starości powleczone oczy jego nie zmieniały swego spokojnego, upartego wejrzenia, gdy po wietrze pomyślnym nalaatywał szkwał gwałtowny i darł żagle na strzępy. Wąskie, zaciśnięte, zlekka sine wargi nie drgały, gdy przychodził orkan i burzę rozpętywał czarną. Stary kapitan dużo burz przeszedł w swem życiu i już nie przerażała go żadna. W sztormy najsrozsze, gdy wiry i kłębowiska spienionych fal zmiatały wszystko z pokładu, na mostku kapitańskim, na rozstawionych szeroko nogach tkwiła krępa, zlekka przygarbiona postać starego Szordy i z pod brwi krzaczastych spozierała spokojnie we wściekłe oblicze następującej wichury. Nie lękał się wichrów stary kapitan. Znał je. Wiedział czego się od nich spodziewać, jak walczyć, jak poskromione wykorzystać dla

białych żagli „Mewy“, dla pędu lotnego, który go nosił już od lat wielu po wszystkich wodach świata. I skał się nie lękał podwodnych ni prądów zdradzieckich. Znał je też. Znał wszystkie napamięć. Niczego się nie lękał stary Szorda. Wszystko już przeżył, zwyciężył i przetrwał. Jednego tylko się bał, jednego nie znał i nie mógł poznać. Syna swego się lękał i nie mógł zrozumieć stary kapitan. Niepodobnym do ojca był młody Szorda. Takież oczy niebieskie patrzyły w świat z pod brwi gęstych, lecz jakże inny, jakże odmienny był wyraz tych oczu! Rozsiadła się w nich jakaś zaduma głęboka, jakaś myśl uporczywa wyzierała ze spojrzenia tych oczu marzycielskich, błakających się wiecznie i szukających czegoś w nieobjętych przestworzach. Urok i podziw piękna wystrzelał z błękitu oczu młodego Szordy. Tego piękna, które otaczało i wnikało w duszę młodzieńca. Odbijała się w źrenicach tych, masztów strzelistość, żagli biel śnieżna, lazury niebios pogodnych i czerni chmur fantastycznych, złoto promieni słonecznych i srebro poświęty księżyca, djamentami się mieniące w harmonijnym ruchu fal.

I gdy oczy młodzieńca chłoneły te dziwy przyrody ręką Stwórcy z oddechu chaosu dobyte i rzucone na nieogarnione tło wszechświata — w duszy i my-

ślach jego brzmiały nieustannie piękne, czarowne pieśni. Muzykiem był młoda Szorda. Muzykiem szczerym, prawdziwym, oddanym sztuce swej duszą i ciałem. Był dyletantem. Nie znosił utworów znanych, przegranych i prześpiewanych przez świat cały splugawionych pogwarem sal koncertowych i szumem wielkich miast co obnosiły je na ustach nieczystych po swych rozwrzeszczanych, hałaśliwych ulicach. Nie znosił tonów i dźwięków co nie były tylko jego własnością, lecz dobrem publicznem, dostępnem każdej małej, głupiej i ciasnej duszyczce. Krótko mówiąc młody Szorda był kompozytorem nieuznanym przez nikogo, twory swej bujnej muzycznej fantazji chowający tylko dla siebie i Boga, któremu te dzieła krwi, mózgu i nerwów składał w podzięcie za piękno, które chłonał duszą artysty. Wszystko, co chłopak widział, słyszał i czuł zaklinał natychmiast w tony skrzypiec. Dziwaczne to były melodje. Nie lubił i nie słuchał ich nikt. Raziła w nich niesamowitość jakaś, dziwactwa najwymyślniejsze, zaniedbanie całkowite najelementarniejszych kanonów muzyki, brak rytmu, tempa, pauz, harmonji. Nikt nie rozumiał i nie mógł zrozumieć, że z poza potwornych okresów melodji, z poza dźwięków fałszywych i dzikich wyziera zakłęta w ton muzyczny jutrzienka promienista wynurzająca

się z bieli pian morskich, kształt fantastyczny chmury czarnej, drganie rytmiczne upalnego powietrza w południe, urok krwawych barw zachodzącego słońca. Nikt nie wyczuwał wśród muzycznych herezji krzyku mew żalostnego, grzmotu i lysnień błyskawic, łopotania żagli, szmeru łagodnego wiatorku lub wycia wichury, trzasku masztów i rej.

Ktokolwiek słyszał te dziwactwa to słuchał ich uchem nie duszą. Dlatego też nikt nie rozumiał tego, co przez grę swą chciał powiedzieć młodzieniec. Gra to była wstrętna i dokuczliwa dla wszystkich jednakowo. Najbardziej jednakże nie lubił jej stary Szorda. Ona właśnie była tym elementem w duszy syna, groźnym, niezrozumiałym i wrogim dla ojca. Bał się jej i walczył z nią już oddawna stary kapitan.

Rozpoczęła się ta walka wzgardliwym skrzywieniem ust, gdy po powrocie z długiego rejsu do domu ujrzał był skrzypce w ręku małego synka. Zapytał wtedy swej młodej żony, urodziwej exśpiewaczki szynków i zaułków portowych — coby to miały znaczyć skrzypce w ręku jego syna, w ręku syna marynarza? Odpowiedziała, że chce by syn jej znał, rozumiał i kochał muzykę tak, jak kochała ją ona sama.

— Bzdury! — tem jednym słowem Szorda, kapi-

tan dalekiej żeglugi, objął całokształt matczynej fantazji i określił swój do niej stosunek .

Z początku tylko pogardą niezmierną darzył stary wilk morski tę całą imprezę muzyczną, przekonywując siebie, żonę i synka, że jego szczerą krew marynarza płynącą w żyłach młodego muzyka wzburzy się wkońcu przeciwko „bzdurom“ i każe przyszłemu kapitanowi odrzucić skrzypce precz, poza kres swoich upodobań i pragnień. Później wszakże, gdy za każdym razem wracając z morza do domu słyszał w nim muzykę brzmiącą od świtu do nocy i widział nienawistne pudło skrzypiec — począł twierdzić kategorycznie, że nigdy nie zezwoli na to, by syn jego, syn marynarza z dziada pradziada, miał zostać jakimś tam muzykantem

Z biegiem czasu, gdy miłość młodego Szordy do sztuki wzrosła jeszcze i spotężniła, ojciec sposepniał, stał się dla rodziny surowym, twardym, nieugiętym. Zabronił stanowczo gry na skrzypcach podczas obecności swej w domu. Zdarzyło się kilkakrotnie, że zdruzgotał w przystępie gniewu skrzypce, a lży syna przyjął obojętnie z pogardą. Walka ta jednak była nierówną i przewaga znajdowała się bezsprzecznie po stronie matki i syna. Stary kapitan przeważną część życia spędzał na morzu, do domu zjawiając się

rzadko, a i to na dni kilka zaledwie. I właśnie w te długie okresy nieobecności jego małe mieszkanko rozbrzmiewało śpiewem i muzyką. Położenie to uległo gwałtownej i zasadniczej zmianie dopiero po śmierci matki młodego Szordy, skoszonej przedwcześnie suchotami grasującymi w ciemnych i wilgotnych zaułkach portowych. Po śmierci żony stary kapitan zabrał podrastającego już syna na pokład swego okrętu. Twarde i znojne rozpoczęło się teraz życie dla młodego muzyka. Oddany pod rozkazy kucharza z instrukcją — nie pobłażać, harować musiał w kambuzie, przy rondlach i kotłach od świtu do nocy. Schudł, szerniał od sadzy i przybladł z przepracowania, stał się smutny, apatyczny i obojętny na wszystko. Wiezorami tylko, po pracy, leżąc na swej койce w kubryku i wspominając dawne „muzyczne“ czasy ożywiał się trochę, coś tam mamrotał do siebie, podśpiewywał, wymrukiwał jakieś urywki melodyj i pieśni, co nieprzerwanie grały mu w duszy. Bacznie acz niepostrzeżenie obserwował syna stary kapitan. Interesował się każdym jego czynem, każdym ruchem, najdrobniejszym grymasem lub skurczem drobnej twarzyczki. Cierpiał i bolał nad nim z nim razem. Kochającą myślą i sercem ojcowskiem schylał się z nim razem nad rozżarzoną blachą kuchen-

ną, szorował kotły i noże, płakał w duszy, rozpaczał i gdy u syna z powodu skaleczeń kapłała krew z ręki u ojca broczyła — z serca. Twardym jednak i nieugiętym był Szorda, kapitan dalekiej żeglugi. Gdy ujrzał, że praca kuchcika zbyt przygniatająco działa na umysł chłopaka, podwyższył go do stopnia marynarza pokładowego i wcielił do jednej z wacht. Tam znowu bosman dostał zlecenie — nie pobłażać, dawać jak najwięcej i jak najcięższej pracy, posyłać do żagli na reje w miejsca i momenty jak najbardziej niebezpieczne i groźne. Po kilku miesiącach tej próby ojciec zaczął brać syna do swej kapitańskiej rupki i uczyć go nawigacji, locji, zapoznawać z używaniem logu i mapy, wtajemniczać w arkanã sekstansu, chronometru i drogowskazów słońca i gwiazd.

Wyraźnie chciał stary kapitan, by syn objął po nim komendę na pokładzie i prowadził „Mewę“ po oceanach i morzach, jak jego ojciec, dziad i pradziad. Niepokonane jednak trudności spiętrzyły się w duszy syna przed wolą ojca. Twarde, znojne, grube i ściśle materialne życie, jakie prowadził chłopak na statku, wywołało reakcję i zamiast wybić muzyczne „bzdury“ z jego głowy, stworzyło potrzebę sztuki, wznieciło głód intelektu i rzuciło już teraz zdecydowanie i bezpowrotnie duszę młodzieńca w krainę

dźwięków i pieśni. Korzystając z zakotwiczenia się „Mewy“ w jednym z większych portów Europy, młody Szorda wyszedłszy na ląd kupił za zaoszczędzone z wypłacanej mu skrupulatnie zapłaty skrzypce i smyk i wróciwszy na pokład ukrył je pod posłaniem w swej kojce. Od tego czasu rozpoczęła się zażarta i nieubłagana walka ojca z synem. Stary kapitan, który o ile mógł znieść jeszcze jako tako skrzypce w domu na lądzie, - o tyle na morzu, na pokładzie swego okrętu dostawał prawdziwych napadów wściekłości i furji, gdy usłyszał dolatujące skądś z wyżyn masztów synowskie dziwolągi muzyczne. Posyłał wówczas na górę pierwszego z brzegu marynarza z rozkazem sprowadzenia siłą na pokład krnąbrnego skrzypka. Gdy syn stawał przed obliczem ojca i władcy wtedy ten władca z furją rozbijał skrzypce o burzę, a syna samego bił długo i zapamiętale, przymawiając: Nie hańb mnie swemi bzdurami... nie hańb ojca swemi bzdurami... bądź marynarzem, jak Bóg przykazał, jak twój pradziad i dziad...

Jednak wszystkie te poniewierki, kary i bicia miały bez skutku. Posiniaczony, obolały muzyk w najbliższym porcie kupował za uciulane grosze nowe skrzypce i znów dzikie, zwarjowane melodie brzmia-

ły na masztach, bagszprycie, w triumach, w komo-
rze łańcuchowej, jednym słowem we wszystkich ką-
tach i zakamarkach statku, gdzie można było ukryć
się i grać. W tej ciągłej z ojcem walce o sztukę, syn
nabierał przebiegłości i sprytu, nie dawał się ujrzyć
i złapać, chował się krył, chował i krył skrzypce, wal-
czył o nie zażarcie i wściekle i grał. Grał ciągle, grał
bez przerwy i odpoczynku, grał poza służbą i na służ-
bie, grał w dzień i w nocy o zmierzchu i o świcie.
Ogarnęła go jakaś manja muzyczna, jakaś wola po-
tężna odtwarzania dźwiękami wszystkiego co widział,
słyszał i czuł. Zdawało się, że duch zmarłej matki-
śpiewaczki wcielił się w syna, wzrósł, spotęgował sto-
krotnie, stał się mocarny i wielki i grzmiał oto sym-
fonją zaświatów na bezmiarze wód oceanu.

Pieśni wichrów i mórz, pieśni drzemiące żywio-
łów budził młody Szorda swym smykiem, ubierał je
w szaty tonów skrzypcowych i ciskał w przestwo-
rza. Burzom, ciszom i szkwałom odpowiadały echem
struny skrzypiec manjaka. Wschody i zachody słońca
rodziły pieśń powitania i pieśń pożegnania. Jasne,
upalne południa tworzyły wspaniały „Hymn światła“.
Huragany, wichry i wiatry wygrywały na strunach
lotne „Marsze pędu“. Błyskawice i gromy nieciły
w skrzypcach „Rapsodje grozy“ Każdy rys, każde

poruszenie żywiołów grało echem skrzypiec w ręku młodego muzyka. Jedynie cecha najcharakterystyczniejsza morza, jego życie, istota, sens i treść najgłębsza nie została odtworzona smykiem młodego skrzypka. Milczała, głuchą była i niemą. Milczała niezmartwychwstała i z niezmiernych płaszczyzn wód oceanów i mórz nie cisnęła się na struny skrzypiec — „Pieśń fal“. Bał się ją wygrać ten syn marynarza i artystki. Lękał się profanować tę pieśń czarowną głębin morskich co brzmiała wspaniałym rezonansem w jego duszy. Drżał na myśl, że tonem fałszywym, porywem serca przyziemnym, nieumiejętnym ruchem smyka sparodjuje, zohydzi to co w całej twórczości jego było najlepsze, najdroższe, najświętsze, acz nie stworzone jeszcze, zagrane tylko na nerwach najczulszych, na strunach najwrażliwszych muzycznego jestestwa jaźni.

Kochał tę pieśń fal oceanów i mórz świata całego, której nie odpowiadały wylękle, niegodne jej zabrzmieć w unison biedne struny jego skrzypiec. Wielokrotnie już, w burze huczące i w jasne światłem miesiąca noce chwycił za skrzypce i chciał zagrać tę melodię, co rwała się z jego duszy w świat szeroki i zawsze bezradnie opuszczał ręce.

— Nie jestem godzien — szeptał z rozpaczą i bólem — nie potrafię, nie umiem...

Miłość ogromna do morza nie pozwalała mu wyśpiewać niedoskonale tego hymnu, który był duszą nieogarnionych głębin wód.

Jednakowo ukochali morze stary i młody Szorda. Różne tylko były przejawy tej miłości. Podczas gdy ojciec wielbił je pracą swych mięśni i mózgu, syn składał w hołdzie dar swych nerwów i serca. Krew matki artystki nie pozwalała, by dar ten był nędzny, mierny.

Długo, długo łopotały żagle na masztach „Mewy“, długo sztaba jej rozpieniała powierzchnię mórz nim z poszumem fal zmieszały się dźwięki ich pieśni. A stało się to niezadługo przed śmiercią syna i ojca Szordów.

Była burzliwa, sztormowa pogoda, gdy w nocy z pokładu miotanej orkanem „Mewy“ dostrzeżono światelka na widnokregu. Była to mała, skalista wysępka Deserto Grando leżąca na połowie drogi z Ameryki do Europy. Potężne porywy wichru pędziły okręt wprost na groźne skały tej wyspy. Kapitan Szorda stał na rozkraczonych szeroko nogach, na kapitańskim mostku i wykrzykując rozkazy głośny swym krzykiem huk wichru i fal. Załoga cała upa-

dając ze znużenia pracowała nad zarzuceniem zapasowych kotwic, które jedynie, wstrzymawszy statek od dryfu, zapobiec mogły awarii. Pracowały wszystkie wachty, pracował nawet kucharz i steward. Jedynie młody Szorda oczarowany pięknem rozszalałych żywiołów, niepomny na nic unoszony porywami natchnienia stał przy grot maszcie i grał „Pieśń fal“.

Nareszcie. Nareszcie na skrzydłach burzy naleciało nań to natchnienie, którego tak dawno już czekał i które dawało pewność stworzenia dzieła absolutnej doskonałości i piękna. Nareszcie. Nareszcie tworzył „Pieśń fal“. Nareszcie tworzył część pierwszą pieśni zowiącą się „Pieśnią fal huczącego morza“. Półprzytomny, w ekstazie nie słyszał gniewnych okrzyków ojca zapędzających go wraz z innymi do pracy. Nic nie słyszał, nie widział, nie czuł. Zamknął się w sobie, w jaźni swej wraz z wysnioną melodią i grał. Pod akompanjament wycia wichrów, trwożliwego łopotu żagli i wściekłego huku bałwanów, grał młody Szorda. Grał swą wysnioną, wymarzoną „Pieśń fal“. Grał jej część pierwszą — „Pieśń fal huczącego morza“.

Dopiero gwałtowne, brutalne szarpnięcie za ramię wyrwało go ze stanu ekstazy. W migotliwym świetle latarń okrętowych odbitem na grzbietach na-

stepujących gór wodnych ujrzał bladą z gniewu i wściekłości twarz ojca.

— Darmozjadzie... Podlecu... Zbrodniarzu... — charczał wściekle kapitan Szorda w twarz syna — wyrodny... widzisz przecie... giniemy... a ty grasz... grajku nędzny... pod sąd morski cię oddam! Na reję wyrodku! Na bom-bram! Za karę! Byś zginął... szczył... Leź!

Zmilkła pieśń. Głucho stuknęły skrzypce o pokład. Sylwetka syna zamajaczyła na wantach i pięć się zaczęła w górę coraz wyżej i wyżej. Znikła wkońcu wśród białych zwałów zwiniętych żagli, w płątaniu lin, w nieprzebitych ciemnościach mroku. Znikła. Kapitan Szorda stał na rzucanym przez fale pokładzie z głową zadartą do góry i patrzył w ten punkt na maszcie, gdzie przed chwilą widział był syna. Lęk jakiś nieokreślony po raz pierwszy w życiu porwał w swe szpony Szordę kapitana dalekiej żeglugi. Może przeczuła coś dusza? Zabiło trwogą serce ojcowskie. Wzrokiem strasznym, przerażonym patrzył w górę, w czerń nocy. Raptem...

Stało się. Od reji bom-bramu oderwał się mały, czarny kłębek i w błyskawicznym pędzie w dół przybrawszy postać ciemnej, bezkształtnej masy głucho plusnął w rozszalałe fale za burtą. Jeszcze krzyk

słaby, rozpaczny, uderzył w kir nocy i zaginął w huku srożącej się burzy.

Szorda, kapitan dalekiej żeglugi, długo stał z głową zadartą do góry, z oczami wbitemi w ten punkt, gdzie po raz ostatni zamajaczyła mu niknąca sylwetka syna. Długo tak stał. Może godzinę, może pół godziny, a może i dwie. Nie wiedział już sam. Później, jak zawsze krokiem twardym, i pewnym wszedł na swój kapitański mostek i stanąwszy tam na szeroko rozstawionych nogach, począł wykrzykiwać grzmiące rozkazy, wydawać zlecenia, zachęcać i zapędzać załogę do pracy.

W końcu ucichła burza, uspokoiły się fale, zamilkły wichry. Promienie wschodzącej jutrzzenki oświetliły zarysy białej, „Mewy“, stojącej na wszystkich kotwicach o kilka mil od groźnych skał Deserto Grando.

Gdy nastał dzień i groźba awarii już nie zawisała nad „Mewą“, kapitan Szorda zeszedł z mostku, usiadł na zwoju lin i ukrywszy twarz w dłoniach pogrążył się w myślach. Nie przeszkadzał mu nikt, marynarze po ciężkiej, zabójczej, odbierającej przytomność pracy, zapadli w głuchy głęboki sen. Długo trwał w rozmyślaniach Szorda, kapitan dalekiej żeglugi. A gdy słońce minąwszy zenit zanurzyło swą tarczę w bieli pian za widnokreśm, stary Szorda wstał, podszedł

do grot masztu i podniósłszy z pokładu porzucone skrzypce syna i smyk, poszedł z niemi na przód okrętu, na bak.

Mijały godziny. A gdy światło wschodzącego miesiąca wysrebrzyło swym tajemniczym, migotliwym blaskiem lśniące grzbiety fal, do uszu przebudzonej załogi doleciały z baku smętne, rzewne tony skrzypiec. Gdy kilku marynarzy poszło zobaczyć co się tam dzieje, zdumionym oczom ich ukazał się kapitan Szorda, siedzący na zwoju lin ze skrzypcami i smykiem w ręku i grający drugą część synowskiej „Pieśni fal“, grający część drugą elegijną — „Pieśń fal księżycowej nocy“.

Marynarze odeszli, a kapitan patrzył obłądnym wzrokiem na fale i grał.

Znów kilka godzin minęło, miesiąc rozlał po powierzchni morza pełnię swych blasków, a z baku płynęła bez przerwy czarowna, tajemnicza, elegijną „Pieśń fal księżycowej nocy“.

Znów marynarze przyszli na bak.

— Kapitanie — rzekli — czas się odkotwiczyć, czas w drogę!

Nie odpowiedział im nic Szorda, kapitan dalekiej żeglugi. Nie wypuszczał z rąk skrzypiec i smyka i grał. Odeszli marynarze. A kapitan grał ciągle, grał

bez przerwy. Zdawało się, że w ciągu długich lat słuchając melodji synowskich wyuczył się w końcu gry na skrzypcach i teraz oto żegnając odchodzącego w zaświaty, kończy jego dzieło, tworzy część drugą improwizacji synowskiej, wykańcza „Pieśń fal“.

Nad ranem urwały się dźwięki skrzypiec płynące z baku. Marynarze poszli zobaczyć co się dzieje z ich kapitanem. Nie było tam nikogo. Tylko koło burty okrętu, w świetle zachodzącego księżyca, kołysały się na grzbietach fal skrzypce, na których przed chwilą grał Szorda, kapitan dalekiej żeglugi. Marynarze odkryli głowy i odmówili modlitwę za duszę swego kapitana. I jeszcze czas długi potem zdawało im się, że w powietrzu brzmi wygrana przez syna i ojca Szordów — „Pieśń fal“.

Po zdarzeniu tem starzy marynarze, których okręty mijają często małą, skalistą wysepkę Deserto Grando, zaczęli opowiadać, że w jasne noce księżycowe na pokład, do uszu ich wraz z poszumem fal dolatują skądś z głębin przytłumione, smętne tony skrzypiec. Nieliczni utrzymują jeszcze, że w wyjątkowo ciche i jasne noce księżycowe, gdy bezmierna płaszczyna oceanu śpi głuchym snem głębin, pod

srebrzystą powierzchnią lśniących w poświacie miesiąca fal, widać mgliste zarysy skrzypiec i smyk prowadzony po strunach parą rąk. Jedna z nich jest obleczona w prosty, zgrzebny rękaw bluzy marynarskiej, na rękawie drugiej błyszczą złote naszywki kapitańskie. Są to podobno, jak twierdzą ci nieliczni, dłonie syna i ojca Szordów, grających zgodnie na jednych skrzypcach i jednym smykiem, cudną, czarowną — „Pieśń fal“.

JUŻ NIE CHCĘ

Już nie chcę Ciebie. Znalazłem inną. Znalazłem lepszą, piękniejszą, wierniejszą. Dużo jest lepsza od Ciebie moja przyszła kochanka. Przy mnie będzie stale. Nie trzeba jej prosić, by przyszła na brzeg i czekała nim okręt kotwice zarzuci. Nie wydmie wzgardliwie ust i nie odejdzie, gdy okręt wiatrem odpędzon nie będzie mógł do brzegu przybić odrazu. Nie powie, że jej obrzydły pieszczoty i nie będzie spozierać w okno, za którem majaczy cień innego mężczyzny. Na spotkanie nie spóźni się nigdy bo stale przy moim będzie boku. Jest spokojna i cicha nie swarzy się nigdy, nie dąsa. Nie potrzeba jej strojów, pieniędzy i zabaw. Ja sam jej wystarczę zupełnie. I kochać mnie będzie mocniej niż Ty. Uścisk jej ramion potężny — dech od tego uścisku zamiera. Jest długi, trwały, wieczny. Nie wypuści mnie nigdy z swych ramion. I pocałunki jej będą szersze od Twoich. Pocałunki jej są tak mocne, że wyzerają ciało do kości. Nie jest ona jednak ani namiętna, ani gwałtowna. Pocałunki jej niszczą ciało nie gwałtownością lecz mocą

długości trwania. Jest lepsza od Ciebie i dlatego, że w każdej chwili osiąść ją mogę. Krok jeden zrobić wystarczy... Nie trzeba będzie czekać dni, tygodni, miesięcy, by wtedy gdy nadejdzie wreszcie ta chwila dowiedzieć się, że już nie potrzeba...

Przy mnie, obok, pode mną, nade mną i we mnie będzie ona. Moja nowa kochanka. I piękniejsza jest dużo od Ciebie. Jej oczy przepastne są tak czarne, jak nie są czarne oczy żadnej kobiety. Wyrziste są jej oczy. Kto raz spojrział w głąbie tych źrenic, ten już wszystko pojął, zrozumiał... Piękne są jej oczy — mądre i szczerze, niema w nich kłamstwa, obłudy. Białe jest ciało mojej przyszłej kochanki. Biel Twego ciała jest niczem. Przy niej jest ono tak czarne, jak czarne są jej włosy otaczające wszystko wokół i oplatające tego kto padnie w jej ramiona tak mocno, że poza tą czernią już nic dojrzeć nie może.

Postać jej wiotka, a głos tak cichy, że go wcale nie słyhać. To też spokojnie będzie i cicho w mojej łóżnicy. I wierna mi będzie. Wierna tak, jak wierną żadna kobieta być nie potrafi. Nie będę już rozgorzałem oczyma wyczytał zdrady w jej oczach, nie będę wypatrywał śladów uścisków obcych na jej ciele, nie będę wyczuwał ustami na ustach jej pocałunków warg obcych. Pocałunek jej ust na mych

oczach złożony trwać będzie wiecznie i nie ustanie nigdy. Wierną mi będzie moja nowa kochanka, wierniejszą niż Ty. Już nie chcę Ciebie. Znużyłem się ciągłym wyczekiwaniem, myśleniem, marzeniem o Tobie. Osłabły i zdrętwiały mi ręce od ciągłego kołatania do twych drzwi, za którymi już się inny znajduje. Wyblakły i łzami zaszły oczy od ciągłego wypatrywania tej pustki, co po Tobie została. Zbladły i trząść się zaczęły wargi od ciągłego wymawiania Twego imienia napróżno. Wyczerpało się serce które tak długo i gwałtownie biło dla Ciebie. Wstrętną mi się stała łożnica nasza splugawiona przez innego. Moje nowe łoże będzie obszerne i wygodne. Będzie w nim posłanie z piasku, a poduszka ze skały. Będzie w niem nieco twardo, będzie w niem nieco chłodno. Lecz jakże krzepki, jakże głęboki sen mnie ogarnia! A przy mnie będzie moja nowa, już wierna teraz kochanka. I nic mnie już nie wyrwie z jej ramion. Ni krzyk mew żaloszny, ni wycie wichrów, ni burza szalona, ni łopot żagli okrętu, co będzie przepływał nad łożem mojem ze skał, wodorostów i piasku. Sen mocny, sen wieczny legnie na oczach z pierwszym pocałunkiem mojej kochanki, która stale będzie koło mnie. I będzie mi ona szeptać do ucha słowa miłości, miłości wielkiej i świętej co obejmuje świat cały, wszystko

i wszystkich i ją samą i Ciebie i Twego nowego kochanka...

Już nie chcę Ciebie. Znalazłem inną. Jej uścisku, jej pocałunku pożądam. Lecz nim skłonię głowę na łono mojej kochanki, zanoszę do Ciebie prośbę jedną, ostatnią. Jeśli wybierzesz się kiedy z swym nowym kochankiem w morze i jeśli serce w chwili pewnej poszepnie Ci, że ja spoczywam tu właśnie w głębi, pod Twymi stopami, jeśli serce to nie wyzbyło się jeszcze resztek okruchów miłości dla mnie — rzuć wianek na fale. Może opadnie on na dno i legnie na oczach mych zawartych do snu, z którego mnie już nikt nie obudzi. I może drgnę wtedy w ramionach mojej nałożnicy i spojrzę jej czarnymi, przepastnymi oczyma w tę stronę, gdzie popłyniesz Ty, wpatrzona w piękniejsze od moich oczy Twego nowego kochanka...

K O N I E C



SPIS RZECZY

	Str.
Czapka topielca	5
Zbrodnia	30
Domek kapitana dalekiej żeglugi .	67
Noc grozy	84
Wspomnienie	118
Banabak	141
Pieśń fal	181
Już nie chcę	199

Polskie powieści „Roju“:

	Zł.
Brzęczkowski, Asza	4.80
„ Ludzie Legendy	6.50
Dzikowski, Dziewczyna z szaremi oczyma	8.—
Ejsmond, Sztuka wymyślania	4.80
„ Sztuka kochania (wyd. alb.)	15.—
German, Usta o zmroku	4.50
„ Jacek	8.—
„ Historje o pajacach	6.—
„ W gospodzie pod 3-ma zbójami	6.—
J. Kaden-Bandrowski, Łuk (wyd. II. w druku).	
Kretowicz Bronisł., O czem szumi Dewajtis	5.—
Lepecki M. B., Oceanem, rzeką, lądem (w druku).	
Marczyński A. Czarna Pani	6.—
„ W podziemiach Kartaginy	6.—
„ Świat w płomieniach	6.—
„ Pieczeń z antylopy	6.—
„ Niewolnice z Long Island	6.—
„ Przekłęty statek	6.—
„ Księżę Wa-Tunga	6.—
„ Artaynta — Rok 1947 — Aloha —	
Siostra Carmen (w przygot.)	
Maszyński-Krzewiński, Baletnica	5.—
„ „ Szampańskie życie	5.—
Meissner, Eskadra	1.45
„ 4.300 km.	7.—
Sieroszewski Wacław, Miłość Samuraja (II. wyd.)	5.—
Sławiński, Biały pióropusz	5.—
Szpyrkówna Marja, Gwiazda Lucifera	7.—
Wańkiewicz Melchjor, W kościołach Meksyku.	1.95
„ „ Strzępy epopei	1.80
„ „ Szpital w Chichiniczach	—95
Winawer Bruno, Dług honorowy	6.—
Zarzycka I., Dzikuska (5-ty nakł.)	1.95
„ Jawnogrzesznica (3-ci nakł.)	1.95
„ Kwiat Jabłoni	1.95
„ Ślubne pantofelki	1.95
„ Okruchy zakłętego zwierciadła	1.95

WYBITNE DZIEŁA XX WIEKU

JERZY BERNANOS

POD SŁOŃCEM SZATANA

tłum. Aleksander Wat

SYGRYDA UNDSET

KRYSTYNA CÓRKA LAWRAŃSA

tłum. Wanda Kragen

I WIANEK — II ŻONA — III KRZYŻ

JAN GIRAUDOUX

B E L L A

tłum. Marja Kuncewiczowa

PAUL MORAND

ŻYJĄCY BUDDA

tłum. Jarosław Iwaszkiewicz

PAUL MORAND

MAGJA CZARNYCH

tłum. Wacław Rogowicz

GIBBS

N A R O Z D R O Ż U

tłum. Róża Centnerszwerowa

ANDRZEJ GIDE

F A Ł S Z E R Z E

tłum. Jarosław Iwaszkiewicz

HERMAN HESSE

WILK STEPOWY

tłum. Józef Wittlin

E. M. REMARQUE

NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

tłum. Stefan Napierski

LONDON w DOMU

TO HART MŁODEGO POKOLENIA

BIAŁY KIEŁ, 2 t. w jednym	2·50
MIŁOŚĆ ŻYCIA	1·25
SZCZEROZŁOTY WĄWÓZ	95
ARCYBESTJA	1·25
KAFTAN BEZPIECZEŃSTWA	3—
CZERWONY BÓG	1·25
ŻÓŁWIE TASMANA	1·25
MIK	3·75
JERRY Z WYSP	3·50
OPOWIADANIA POGROMCY	1·20
SZKARŁATNA DŻUMA	1·25
WYGA (wyczerpane)	
JOHN BARLEYCORN, 2 t.	à 95
GRA	1·25
CÓRKA ŚNIEGÓW	3·90
MALEŃKA PANI DUŻEGO DOMU	3·90
DOLINA KSIĘŻYCA (w druku)	—

ARNOLD ZWEIG

SPÓR

== O ==

SIERŻANTA GRISZE

12 ZŁ.

Książka jest w najwyższym stopniu ciekawa dla polskiego czytelnika — niezależnie od jej wielkich walorów literackich. Akcja rozgrywa się na terenach Ober-Ostu, który w czasie wojny był ziemią przeklętą, ujętą w żołdackie karby, pańszczyźnianej niewoli. Oczyma autora widzimy życie sztabów komendantur niemieckich od wewnątrz.

Wielka powieść Arnolda Zweiga jest dla mnie najważniejszym od długiego czasu objawieniem poetyckim. W tym sporze biednego podoficera rosyjskiego ujawnia się całkowite poczucie miary i efektu. Każdy szczegół rozległego dzieła posiada swoją prawdę i urok, każdy z nich, bez wyjątku, służy wielkiemu i prostemu celowi. Równie potężnie żyją tu ludzie jak i tło. Wobec takiego ducha męznego człowieczeństwa może ozdrowieć Europa głupców u władzy i groszowych cesarów.

BRUNO FANK

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

226496

Biblioteka WSP Kielce



0083766

